



AKADEMIA ORŁÓW II

×

**PRAWDZIWE HISTORIE,
KTÓRE CIĘ USKRZYDŁĄ**



Iwona Kamieńska



**sursum
corda**
STOWARZYSZENIE





**sursum
corda**
STOWARZYSZENIE

*Pomagam z SURSUM CORDA.
Ty też możesz!
Małucha Kuszyńska*

Pomysł na tę książkę narodził się pod dachem Stowarzyszenia Sursum Corda i słowami „Sursum Corda” (z łac. „w górę serca”) jest inspirowany. W nazwie stowarzyszenia zawiera się jednocześnie nasza misja: **dać nadzieję na to, że będzie dobrze ludziom, którzy z różnych przyczyn muszą iść przez życie drogą przez ciernie.** Stowarzyszenie ma swoją siedzibę w Nowym Sączu i działa od 2000 roku. Powstało z inicjatywy grupy osób, które osobistą przygodę z wolontariatem postanowiły kontynuować przez całe życie i stworzyć w rodzinnym mieście profesjonalną „kuźnię” talentów do pomagania innym. Po kilku latach wokół Stowarzyszenia Sursum Corda wyrosła „armia” licząca co roku setki wolontariuszy, a w centrum dowodzenia organizacją powstały komórki wyspecjalizowane w organizowaniu różnych form pomocy: dla dzieci z ubogich rodzin, dla chorych i niepełnosprawnych, dla osób zdrowych poszkodowanych wskutek różnych życiowych dramatów, czy opuszczających zakłady karne.

Jesteśmy organizacją pozarządową, apolityczną, działającą na zasadzie „non profit”. Od 2004 roku posiadamy status organizacji pożytku publicznego. Ciebie także zapraszamy do naszej drużyny. Choć zawsze trudno prosić o pomoc, to czynimy to, z myślą o naszych podopiecznych. Jeśli chciałbyś wspólnie z nami zmieniać świat na lepsze, możesz to robić! Z wdzięcznością przyjmujemy: Twój wolny czas, ekspercką poradę, rzecz lub usługę od Twojej Firmy. Każdy **1 %** inwestujemy w mądrą pomoc. Nasz nr **KRS** to: **00000 20 382**. Znajdziesz nas w internecie, pod adresem: **www.sc.org.pl** lub na Facebooku. **POMOC MA MOC!**

AKADEMIA ORŁÓW II



**PRAWDZIWE HISTORIE,
KTÓRE CIĘ USKRZYDLĄ**

Iwona Kamieńska

© Stowarzyszenie Sursum Corda, 2016

Opracowanie graficzne i skład:

Agata Wajer-Gądecka
APP Pole znaku

Zdjęcia:

Filip Kałużny – www.foto-wspomnienia.pl

str. 85-94 fot. Joanna Pieczara

str. 89 arch. domowe Brandstatterów

str. 111 fot. Katarzyna Widmańska, strój: Katarzyna Konieczka

Stowarzyszenie Sursum Corda

ul. Lwowska 11
33-300 Nowy Sącz

tel. 18 540 40 40; 18 441 19 94

e-mail: biuro@sc.org.pl

www.sc.org.pl

www.facebook.com/Stowarzyszenie.Sursum.Corda

Publikacja dofinansowana ze środków
Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych
Książka bezpłatna, nieprzeznaczona do sprzedaży



SPIS TREŚCI

Myśl na początek	07
01. Jurek Płonka	08
O koronowaniu Jurka, czyli...	
Najważniejsze jest niewidoczne dla oczu	
02. Monika Jaworska	20
Dziewczyna, której nie dościgniesz, czyli...	
Jak Monika odnalazła wolność	
03. Maciej Horbowski	30
O Maćkowych miejscach między górami i między chmurami, czyli...	
Człowiek uskrzydłony	
04. Iwona Cichosz	40
O królownie Iwonie, która buduje mosty, czyli...	
Cicho sza... i wszystko gra	
05. Agata Spała	50
O życiu z pasją, czyli...	
O tym jak Agata dmucha ludziom w skrzydła	
06. Tomasz Tasiemski	62
O tym jak Tomasz zdawał egzamin dojrzałości, czyli...	
Ruch to szczęście	
07. Mariusz Kędzierski	74
Zaczarowany ołówek, czyli...	
Mariusz rysuje, Mariusz buduje	
08. Andrzej Brandstatter	86
O tym jak Bóg zamyka drzwi i otwiera okno, czyli...	
Jak Małgosia uratowała Jędrka i jego muzykę	
09. Krzysztof Pietrzyk	98
Jeśli poślizg, to tylko kontrolowany, czyli...	
O Scyzorach i trzystu koniach Krzyśka	
10. Aldona Plewińska	108
O tym, że ważniejsze jest to, co mamy, od tego, czego nam brak, czyli...	
Co piękna Aldona ma w plecaku	
11. Konrad Tokarczyk	118
Wychować Orła, czyli...	
Jak Agnieszka i Piotrek stworzyli skrawek Nieba na Ziemi	

*Mojej mamie,
dzięki której wiem po czym poznać Orła i Anioła,
która nauczyła mnie zanim zdążyłam sięgnąć
po „Małego Księcia”, że najważniejsze jest
niewidoczne dla oczu*

MYŚL NA POCZĄTEK



LEĆ PO SZCZĘŚCIE. POTRAFISZ! JESTEŚ ZNACZNIE SILNIEJSZY NIŻ MYŚLISZ.

Jak myślisz: czy można zostać mistrzem gry w szachy, grając zawsze ze słabszym przeciwnikiem? Sięgnąć po Koronę Ziemi, trenując zdobywanie górskich szczytów tylko w Bieszczadach? Zagrać Poloneza-Fantazję Chopina albo 24 Kaprys Paganiniego bez wcześniejszego pokonania trudności, jakie czają się w prostych preludiach i etiudach?

Niemożliwe.

Mistrzostwo jest dla tych, którzy nie boją się przeciwności, wiedząc, że każda przeszkoda, z jaką dzisiaj trzeba się zmierzyć, zmieni się w siłę, która będzie potrzebna jutro.

Bohaterowie tej książki to mistrzowie życia.

Mistrzowie szachowi, zdobywcy ośmiotysięczników, wirtuozi fortepianu czy skrzypiec i wszyscy inni najlepsi z najlepszych mają łatwiej, bo sami decydują, z jakim poziomem trudności będą mierzyć się każdego dnia. Ludzi, których poznasz czytając „Akademię Orłów” los postawił przed faktem dokonanym, śrubując życiowe trudności do granic możliwości. Bez pytania o zgodę. Niektórym z nich zabrał wzrok, innym możliwość słyszenia, jeszcze innym – władzę w rękach i nogach.

- A teraz leć jak najwyżej. Potrafisz – szepnął każdemu z nich Anioł Stróż.

Ci, którzy usłyszeli ten szept, pofrunęli śmiało jak Orły.

Nigdy nie wiesz, jak jesteś silny, dopóki bycie silnym nie stanie się jedynym wyjściem, jakie masz.

Jeśli czujesz, że los podkręca śrubę przeciwności, jakie piętrzą się przed Tobą każdego dnia, ta książka jest dla Ciebie. Można czasem wśród burzy nie usłyszeć szeptu, który podpowiada, że warto rozwinąć skrzydła, że to możliwe w każdych okolicznościach, ale trudno przeoczyć, gdy napisano czarno na białym:

Leć po szczęście. Potrafisz! Jesteś znacznie silniejszy niż myślisz.

A black and white portrait of a man with short, dark hair and a slight smile. He is wearing a light-colored t-shirt. The image is framed by a blue border on the left and right sides. A large, blue, stylized number '01' is overlaid on the top right of the man's head.

01

O KORONOWANIU JURKA,
CZYLI...

**NAJWAŻNIEJSZE JEST
NIEWIDOCZNE DLA OCZU**



**JUREK
PŁONKA**

O KORONOWANIU JURKA, CZYLI...



NAJWAŻNIEJSZE JEST NIEWIDOCZNE DLA OCZU

Gdy składałam słowa w pierwsze zdania opowieści o Jurku, on i jego przyjaciel - Michał stawiają krok za krokiem po stoku, który prowadzi na dach Europy - Mont Blanc. Zmęczeni, ale szczęśliwi do samego nieba wsłuchują się w odgłosy śniegu i lodu pod rakami, łapią w płuca rześkie alpejskie powietrze, oddają trochę swojego ciepła skałom, chwytając dłońmi najpewniejsze z pewnych chwytów. Z respektem, bardzo ostrożnie, bo w tym teamie nie można pozwolić sobie na nieprzemysłany ruch. Jurek prawie nie widzi.

Gdy był dwuletnim chłopcem, zdiagnozowano u niego chorobę siatkówki oka. Jak ją leczyć – tego nikt jeszcze nie wie, więc kończy się zawsze tak samo: kształty stopniowo zamieniają się w coraz mniej wyraźne plamy. Człowiek traci wzrok. Jurek nie widzi szczeliny w lodowcu, w którą może wpaść. Nie widzi, czy szczyt, na który zmierza, wyłania się z morza chmur. Nie widzi zachwyty w oczach przyjaciół, gdy podziwiają świat setki metrów pod stopami. Ale słyszy szum wiatru buszującego między skałami i śpiew górskiego strumienia. Czuje promienie słońca na twarzy, miękkość mchu porastającego kamień. Towarzysze podróży dopowiadają resztę. Wyobraźnia maluje krajobraz, którego oczy nie mogą zobaczyć.

W szkole podstawowej jeszcze mógł czytać. Później mógł – ale tylko przez lupę. Grał jeszcze w piłkę nożną, w koszykówkę, w siatkówkę, ale z rozpoznawaniem kolegów na boisku było kłopotliwie. Dziś przed oczyma ma gęstą mgłę. Kątem oka widzi odrobinę wyraźniej. Wie, czy jest jasno czy ciemno, ale gdyby ktoś znajomy przeszedł obok, nie rozpozna go, używając wyłącznie zmysłu wzroku. Szacuje, że zostało mu 5 proc. tego, co widzi ktoś, kto ma zdrowe oczy.



Po rozmowie z Jurkiem ja mogę z dużym prawdopodobieństwem trafności oszacować inną wartość: wydolność jego wyobraźni to jakieś 500 proc. tego, co potrafi mózg przeciętnego człowieka.

Przestał grać w piłkę, pogodził się z tym, że nie będzie kierowcą i postanowił sprawdzić, co może robić, widząc tylko mgłę i plamy. Prędko okazało się, że może bardzo dużo: biegać, wspinać się, pływać, żeglować, jeździć na rowerze, pomagać ludziom, chodzić na randki i do kina.

Szukasz odpowiedzi na pytanie: Po co niewidomemu kino? To proste - mózg, który korzysta z daru wyobraźni, nie musi dostawać informacji o szczegółach obrazów dostarczanych wiązkami nerwów wzrokowych, żeby produkować emocje związane z tym, co wynika z akcji filmu. Kreatywny mózg dzięki temu, co dostaje z innych zmysłów i dzięki wyobraźni, tworzy swoje obrazy. Nie trzeba widzieć, aby rozumieć film.

Rodzice wychowali Jurka na twardego, samodzielnego faceta, bez taryfy ulgowej, bez rozczulania się nad chorobą i jej skutkami.

Udał im się syn. Ma niejednego talent. Pięknie mówi. Potrafi zarażać ludzi optymizmem i determinacją w dążeniu do celu, motywacją do tego, aby po męsku mierzyć się z problemami i żyć intensywnie, bo takie życie najbardziej cieszy. Zresztą określenie „intensywnie” wydaje mi się za słabe dla opisanego tego, co wyczynia Jurek. Pożyczając słowa od księdza Janka Kaczkowskiego, można śmiało napisać, że fantastyczny niewidomy facet z Krakowa żyje na pełnej petardzie.

Zrobił kurs żeglarski i lawinowy zadziwiając goprowców bezbłędnym odnajdywaniem ludzi pod śniegiem. Trenował wioslarstwo i kolarstwo, skakał ze spadochronem. Przebiegł w trzy godziny, pięćdziesiąt pięć minut i dwadzieścia pięć sekund nowojorski maraton i ukończył dwanaście innych maratonów. Całkiem nieźle jeździ na nartach. W 2007 roku zainwestował w rower – tandem i razem z Michałem ruszył w trasę z Jarosławia do Gdańska wschodnią ścianą Polski. W poniedziałki i środy biega. We wtorki i czwartki pływa na basenie. Systematycznie trenuje na ścianie wspinaczkowej. Na początku sierpnia 2016 roku miał za sobą udane wejścia na 39 z 46 szczytów Korony Europy. To potężne przedsięwzięcie dzieje się pod nazwą Euro-Summits Adventure i jest projektem bez precedensu. Nie było przed Jurkiem żadnego innego niewidomego, który wyznaczył sobie taki cel.

Jurkowa Korona zaczęła się od buntu. 8 sierpnia 2009 roku odszedł do lepszego świata ktoś bardzo mu bliski – ksiądz Stanisław Kracik. Zanim ksiądz Staszek dotarł do kresu swojej doczesnej wędrówki, dzielnie walczył z chorobą nowotworową i wbrew temu, co chciała z nim uczynić, chodził po górach, cieszył się windsurfingiem, dzielił się radością życia i fantastycznym poczuciem humoru z przyjaciółmi. Jurek Płonka i Michał Mysza nie mogli pożegnać się z nim ot tak – zwyczajnie, maszerując w pogrzebowym kondukcje i składając wieniec w miejscu pochówku. Zbuntowali się i nie poszli na pogrzeb, ale z dedykacją dla księdza Staszka postanowili zdobyć Mont Blanc. Był to wyczyn z gatunku szalonych. Nie tylko dlatego, że Jurek nie widzi. Chodzi o to, że on nigdy wcześniej przed tą buntowniczą wyprawą nie wspinał się.

Po trzech dniach mocowania się ze skałami - 4 sierpnia o godz. 14.50 stanęli na wierzchołku Alp, który wznosi się na wysokość 4810 m n.p.m. Dumny i wzruszony ksiądz Staszek w zaświatach pewnie szalał ze szczęścia. Jurek był pierwszym niewidomym Polakiem, który stanął na najwyższym szczycie Alp. Dwa lata później – w 2011 roku Jurek i Michał założyli stowarzyszenie „Nie widzę przeszkód”. Mieli konkretny i przetestowany już cel: pomagać niepełnosprawnym realizować pasję aktywnego życia.

Kolejnym impulsem do kontynuacji górskiej przygody był wyczyn jednego ze znajomych Jurka – Wiktora Dobrowolskiego, który w 2013 roku dzielił się wrażeniami z rajdu pod hasłem Three Peaks Challenge polegającego na zdobyciu w 24 godziny wszystkich najwyższych szczytów Wielkiej Brytanii.



Wiktor zaproponował mi Koronę Europy. Nie namyślając się długo, powiedziałem: czemu nie?. Tak zaczęła się największa przygoda w moim życiu, która trwa do dzisiaj – opowiada Jurek.

Na początek pomysł został poddany specyficznemu testowi - Jurek postanowił, że jeśli uda mu się wejść na Babią Górę w dobrym czasie, może próbować sięgnąć po komplet najwyższych szczytów kontynentu. „Zaliczył” tę Babią w 2,5 godziny.

Górski maraton po Koronę rozpoczął się jesienią 2013 od najwyższego szczytu Irlandii – Carran-tuohill (1039 m n.p.m.). W Anglii, Szkocji i Walii wszedł na trzy najwyższe szczyty w 23 godziny i 47 minut.

” *Jak to się robi? Zespołowo. Kluczowe jest zaufanie. Ktoś przede mną trzyma kij w ręce. Ja trzymam go z drugiej strony. Wyczuwam, czy idzie w lewo, czy w prawo. Czasem trzymam się czyjegoś plecaka. Z tyłu idzie ktoś, kto asekuruje i opowiada o tym, co mamy pod stopami, mówi, gdzie jest przepaść – tłumaczy Jurek. – Idę stylem „mał-piszona” na nieco ugiętych nogach, żeby nie uszkodzić stawów skokowych. Nie widzę, gdzie stawiam stopy. Nie wiem, na co spadnę, jeśli spadnę, więc mam duży respekt. Skała to dla mnie ciemna plama, która równie dobrze może być przepaścią. Oczywiście nie da się uniknąć upadków. Bywa, że wracam poobijany. Bywa, że siadam na szlaku z myślą: co ja tutaj robię? Ale po chwili przychodzi opamiętanie – projekt cudowny, ludzie niesamowici. Warto!*

Po pionowych ścianach Jurek porusza się jak pająk. Patrząc na niego trudno uwierzyć, że nie widzi. Czuje skałę, wie, gdzie postawić nogę, wyczuwa dłonią bezpieczne chwytty. Trawers jest znacznie trudniejszy. Najtrudniejsze - schodzenie.

” *Często odbywa się na pupie. Nawet nie liczę, ile spodni podarłem – śmieje się. Próbuje cały czas przekazywać Jurkowi najważniejsze informacje o tym, gdzie jesteśmy, co przed nami, co obok. Na przykład: jakbyś miał się potknąć, to leć na prawo, bo na lewo masz przepaść – tłumaczy Michał.*

Po co to wszystko człowiekowi, który nie może cieszyć się widokiem?

” *Poznaję miejsca innymi zmysłami – wyjaśnia Jerzy. - Wy macie cudny widok, ja mam za to więcej bodźców, które świadomie odbieram. Równie fascynujące jak widoki są: powietrze, jego zapach i zapach skał, po którym można poznać, czy kamień jest suchy czy mokry, dźwięki otwartej przestrzeni oraz to, co czuć pod dłońmi i pod stopami. Kamienie, ich struktura, korzenie, mech, liście pod podeszwą buta... Mam do dyspozycji dotyk, słuch, węch, nawet smak – jeśli zjem bułeczkę brudnymi łapami. No i oczywiście ludzi, którzy dużo opowiadają. Dzięki nim mogę po swojemu „widzieć” każde miejsce. A relacje z nimi, wspólne przeżycia to kolejny rodzaj bezcennych wrażeń, jakie zostają po wyprawie. Góry zacieśniają więzi.*

Jurek wie, że jeśli się uda, będzie pierwszym niewidomym, który wszedł na najwyższe szczyty kontynentu. Jednak bycie pierwszym wcale nie jest nadrzędnym celem.





” Pewnie, że fajnie jest mieć nagrodę Kolosów, dla podróżników, którzy dokonują wyczynów nieprzeciętnych. Super sprawa! Ale ze mną to jest tak, że puchary i medale sprzedaję na aukcjach, żeby móc znowu w góry jechać – uśmiecha się Jerzy Płonka.

Jest jeszcze jeden, wcale nie mniej ważny podtekst Jurkowej Korony – pokazać innym, że chceć to znaczy móc.

” To życie jest krótkie. Trzeba cisnąć. Nie schrzanić go. Dożyć setki z płaskim brzuchem, aby kiedyś siedząc w bujanym fotelu przy kominku, opowiadać wnukom o wszystkim, co w życiu daje radość. Tłumaczyć, że wszystko jest możliwe. Chcesz coś robić? To po prostu to rób! – mówi.

Sierpień 2016. Jurek i Michał raz jeszcze ruszają na Blanka. Tym razem idą na wierzchołek Alp drogą zwaną „papieską” - od włoskiej strony. Szczyty, które pozostały do kompletu Korony, można już policzyć na palcach jednej ręki. Możliwe, że w chwili, gdy czytasz tę opowieść, Jurek Płonka ma już swoją Koronę i wszystko wskazuje na to, że planuje kolejną przygodę. Przed drugim wyjściem na dach Europy miał już w myślach zarys kolejnego marzenia: Pik Lenina w Pamirze, 7134 m n.p.m.

” Jest tak duży, że chyba nawet ja go zobaczę – śmieje się zawadiacko.

Wciąż ma apetyt na górskie przygody, choć niejedną raz dostał od gór łomot. Jak podczas próby wejścia na najwyższy szczyt Szwecji - Kebenkaise (2111 m n.p.m.)

” To nie jest trudny szczyt. Byliśmy tam w czerwcu. Trwał dzień polarny, ale na termometrze było minus kilkanaście stopni – opowiada Jurek – Mieliśmy wybór – iść przez lodowiec albo dookoła. Byliśmy tylko we dwójkę, więc wybraliśmy bezpieczniejszą, dłuższą drogę. Na wysokości 1900 metrów załamała się pogoda, rozszalał się wiatr. Wiało 120 kilometrów na godzinę. Szedłem na czworakach. Z twarzy zwisły mi sople. Wiedzieliśmy, że niedaleko szczytu jest schron. Udało nam się do niego dotrzeć. Do wierzchołka góry brakowało jakieś sto metrów, ale był to już dystans śmiertelny. Musieliśmy zrezygnować z dalszej wspinaczki i wezwać pomoc, aby wrócić żywymi z tej wyprawy. Czekaliśmy na ratowników 26 godzin - ja w mokrym ubraniu, pod folią i kocem, który po dwóch godzinach pokrył się warstwą lodu. Pociąłem rękawy polaru, owinąłem stopy i dłonie. Odmroziłem twarz. Różne myśli plątały mi się wówczas po głowie: Czy doczekam? Czy uda mi się wrócić? To nie jest tak, że ja się nie boję. Jeśli zdarza się taka sytuacja albo jeśli wisisz nad przepaścią, jeśli słyszysz gdzieś obok huk lawiny, to zupełnie naturalne, że się boisz. Tylko głupi nie boi się w takiej sytuacji, ale najważniejsze jest to, co zrobisz ze strachem, który jest stałym motywem bycia w wysokich górach.

Jurek oswaja strach.



” *Gdybym widział, byłbym pewnie ratownikiem górskim albo wodnym, bo jestem uzależniony od adrenaliny i absolutnie nie nadaję się do siedzenia w domu w ciepłych kapciach. A poza tym ogromnie lubię to, że w górach trzeba w sposób profesjonalny używać mózgu, jeśli chce się wrócić do domu – mówi.*

Czy chciałby wiedzieć? Pewnie, że tak! Może kiedyś medycyna znajdzie sposób, aby oddać mu to, co zabrała choroba. Ale póki nie ma skutecznej metody, Jurek cieszy się życiem i czerpie z niego pełnymi garściami.

” *Jestem szczęśliwy! Robię co chcę, mam rewelacyjnych przyjaciół, mieszkam w cudownym, małym zaściankowym kraju nad Wisłą, w którym mamy wszystko co najpiękniejsze, do którego z przyjemnością się wraca. Moje miasto to fantastyczny Kraków pełen radosnych ludzi, znacznie lepszy niż Las Vegas. Mam plan na przyszłość. Uczę się masażu. Chcę pomagać ludziom. Wiesz... bardzo lubię ludzi. No i nie widzę przeszkód – kwituje.*

W nazwie Jurkowego stowarzyszenia: „Nie widzę przeszkód” zawiera się cała filozofia jego życia. Chce się nią dzielić. Organizować warsztaty dla przewodników osób niepełnosprawnych, współpracować z ratownikami, szczególnie tymi górskimi, którzy bardzo pomogli w realizacji Euro-Summits Adventure. Dostali w zamian coś bardzo szczególnego: ze współpracy z teamem

niewidomego podróżnika wynieśli pozytywne zdziwienie, jak wiele detali drogi wspinaczkowej można poznać bez angażowania wzroku. Podczas szkoleń z udziałem Jurka ktoś wpadł na pomysł, że warto spróbować wczuć się w jego sytuację, a więc zamknąć oczy... I nagle okazało się, że wszystkie zmysły ratowników pozbawione wsparcia oczu dostają doping: wyczula się dotyk, doskonalili się zmysł kinestetyczny, czyli wyczucie „przestrzeni własnego ciała”, wyostrza się słuch.

Gdy będziesz w Krakowie albo w dowolnym innym miejscu na świecie i spotkasz radosnego faceta, który idzie ostrożnie badając dłońmi krawędzie murów, skał, ogrodzeń i wcale nie pomaga sobie charakterystyczną dla niewidomych białą laską, jest bardzo prawdopodobne, że to Jurek.

”

Po Koronie Europy łążę, a na miasto mam ruszać z laską? No bez przesady! – śmieje się.

Jeśli spotkasz go w trudnym dla siebie czasie, gdy nie umiesz znaleźć szczęścia pogubionego na życiowych zakrętach - zaczepl go i zapytaj, czy nie widział Twojego szczęścia gdzieś na szlaku.

Zacznij pewnie jakoś tak: Jeśli myślisz, że twoje życie jest do bani, zamknij oczy i pomyśl, że już zawsze będziesz widział tę ciemność. I uświadom sobie, że możesz otworzyć oczy i wszystko zmienić.



A black and white portrait of a woman with short, wavy hair, looking directly at the camera with a slight smile. She is wearing a dark leather jacket with a high collar and a small buckle. The image is framed by blue vertical bars on the left and right sides.

02

DZIEWCZYNA,
KTÓREJ NIE DOŚCIGNIESZ,
CZYLI...

**JAK MONIKA
ODNALAZŁA WOLNOŚĆ**



**MONIKA
JAWORSKA**

DZIEWCZYNA, KTÓREJ NIE DOŚCIGNIESZ, CZYLI...



JAK MONIKA ODNALAZŁA WOLNOŚĆ

Monika złościła się troszkę, gdy mama kupowała jej lalki, bo znacznie ciekawsze od lalek były autka i traktory brata. Uwielbiała rozbierać je na części. Znakomitą zabawą była również droga do przedszkola pokonywana motorowerem taty, który sadzał małą figlarkę na zbiorniku paliwa i wcale nie protestował, gdy sięgała rączką do manetki. Pozwalał jej dodawać gazu i używać sprzęgła. Dziś Monika Jaworska jest najszybszą motocyklistką w Polsce z kolekcją mistrzowskich tytułów i z osobistym rekordem szybkości – 260 km/h osiągniętym Hondą VFR750F.

Jej „pierwszy raz” na motorowerze w roli kierowcy dokonał się w drugiej klasie szkoły podstawowej.

Miałam wtedy 8 lat. Udało mi się odpalić motorynkę i ruszyć w trzydziestometrową podróż. Oczywiście pod okiem taty. Bardzo mi się spodobało. Chciałam więcej i więcej. Codziennie myślałam tylko o tym, żeby móc się przejechać i poznawać bliżej motocyklowy świat. Byłam za mała, by myśleć wówczas, że w przyszłości zajmę się tym profesjonalnie. Traktowałam to jako świetną zabawę – wspomina.

Jako trzynastolatka miała już kartę motorowerową. Do szkoły jeździła zgrabnym sportowym skuterem Suzuki Katana. Od tego skuterka pochodzi jej pseudonim: Katanka. Później sięgnęła po prawo jazdy na motocykl. Zabawa stawała się coraz bardziej poważna...



W 2007 roku 24-letnia krakowianka – Monika Jaworska stanęła na najwyższym stopniu podium po wygranej VI rundzie Mistrzostw Polski na torze w Poznaniu. Dwa lata później pojechała po tytuł wicemistrzyni Europy Kobiet. W Polsce nie ma podziału na wyścigi dla pań i panów. Startując ściga się z mężczyznami. Z większością z nich wygrywa.

Poza tym, że zapracowała na opinię najszybszej polskiej motocyklistki i poza tym, że nie słyszy - jest całkiem zwyczajną kobietą. Chodzi czasem w sukienkach i robi makijaż. Lubi gotować. Piecze świetnego czekoladowca. Kocha zwierzaki, ale boi się węży i pajaków. Ma lęk wysokości, więc zarzeka się, że choć uwielbia adrenalinę, nigdy nie skoczy na bungee ani ze spadochronem. Ma też mnóstwo marzeń.

”Chciałabym kiedyś sprawdzić swoje możliwości na słynnej wyspie Man. Tor Tourist Trophy, który wyznaczają ulice znajdujące się na wyspie, jest jak stworzony dla mnie. Kolejne marzenie to trening albo choć jeden dzień jazdy z moim idolem - Valentino Rossim. Dla czystej przyjemności i zabawy... Chciałabym też mieć własny ośrodek szkoleniowy z idealnym placem i odpowiednim torem do kursów. Lubię stawiać sobie coraz wyżej poprzeczkę w kwestii przejechanych motocyklem kilometrów, więc byłoby pięknie wybrać się kiedyś w podróż dookoła świata na dwóch kołach. A poza tym kocham psy. Gdybym miała mnóstwo pieniędzy, stworzyłabym schronisko, ale nie takie zwyczajne... W moim schronisku każdy pies czułby się jak w ciepłym, pełnym miłości domu. Takie schronisko all inclusive – wylicza Katanka.

Na co dzień pracuje w aptece swojej mamy. Popołudnia należą do niej. Jeśli akurat nie grzebie przy motocyklach, samochodach albo nie porządkuje szafek w garażu, możesz ją spotkać biegającą z psem nad Wisłą. Może też przemknąć Ci przed oczyma na swoim motocyklu, gdy będziesz podróżować Alejami Trzech Wieszców lub gdzieś na trasie w kierunku Zarabia albo Kryspinowa.

Monika nie słyszy od urodzenia. Opuściła naukę języka migowego, ale nauczyła się czytać z ruchu warg. Jak mówią jej przyjaciele – jest mistrzynią w pokazywaniu, a dzięki treningom u logopedy umie mówić, więc opracowała swój własny patent na skuteczne porozumiewanie się, będący kombinacją słów i gestów. Gdy zdarza się, że gesty nie wystarczą i posługiwanie się mową zawodzi – korzysta z wyjścia awaryjnego, czyli ze słowa pisanego na kartce albo w telefonie.

Wbrew pozorom cisza nie przeszkadza w jeździe. Ani na torze, ani na zwyczajnej drodze. Pod warunkiem, że ma się coś w zamian. Monika ma „to coś”.

” *Dzięki temu, że nie słyszę, wyostrzyły mi się inne zmysły – wyjaśnia. – Jestem bardzo dobrym obserwatorem, mam świetny refleks i coś co można nazwać przecuciem. Bez tego wszystkiego*





nie mogłabym uczestniczyć w ruchu drogowym. Moja przyjaciółka żartuje, że jadąc za mną na motocyklu, może jechać w ciemno, bo wiem, co robi piąty kierowca przede mną i trzeci za mną. Z daleka widzę zwierzęta na poboczu, potrafię przewidzieć wiele niebezpieczeństw na drodze. Muszę mieć również bezbłędne wyczucie pojazdu. Nie słyszę, gdy coś stuka, gwizdże czy świszczy, ale wszystkie te dźwięki odczuwam ciałem jako drgania. Zdarzało się na torze, że mechanik oddawał mi motocykl ponoć perfekcyjnie dopieszczony, jeśli chodzi o ustawienia, mówiąc „jest idealnie”, a ja po jeździe próbnej wracałam i ku jego zdziwieniu mówiłam, że coś jeszcze jest nie tak. I oczywiście pojawiało się spięcie - on pewny swojej roboty, a ja przekonana, że jednak coś nie gra tak, jak powinno. W końcu po dłuższych poszukiwaniach okazywało się, że faktycznie miałam rację i potrzebne są poprawki.

Organizatorzy wyścigów i zawodnicy, którzy nie zdążyli wcześniej poznać Katanki, często nie wiedzą o tym, że motocyklistka nie słyszy. Ma licencję „A” w wyścigach motocyklowych oraz w motocrossie. Ma ważną sportową książeczkę zdrowia. To wystarczy, aby wziąć udział w zawodach. Zdarza się, że jej starty kończą się zbiorowym zdziwieniem stałych bywalców sportowych imprez. Tak było we Włoszech, gdzie sporty motocyklowe są tak bardzo popularne jak w Polsce piłka nożna i gdzie Monika kilkakrotnie stanęła na podium. Gdy po pierwszej udanej jeździe ściągała kask ujawniając dziewczęcą buzię i blond – czuprynę, zawodnicy i kibice otwierali szeroko oczy. Spodziewali się, że TAK może jeździć tylko mężczyzna. Po raz drugi brakowało im słów z wrażenia, gdy dowiadawali się, że dziewczyna, która TAK jeździ – nie słyszy.

Ostatnio Katanka zadziwia także Polaków, ale z innego powodu – zauważyli, że przed startem używa zatyczek do uszu.

” Niektórzy myślą, że się wygłupiam, ale to nie tak... Po prostu tłumik w moim motocyklu jest tak głośny, że przeszkadza mi to w jeździe. Ja „czuję” dźwięk. Zatyczki pomagają – wyjaśnia Monika.

Prawdopodobnie medycyna zna sposób, aby Katanka mogła żyć w świecie dźwięków. Taką szansę dałby jej implant słuchowy wszczepiany do pnia mózgu. Nie chce jednak korzystać z tej możliwości.

” Myślę, że oznaczałoby to dla mnie konieczność rezygnacji z mojej pasji. Implant wszczepiony jest w delikatną tkankę mózgową. W tej sytuacji każda wywrotka i najmniejsze uderzenie głową mogłyby skończyć się śmiercią. A przecież motocykle to całe moje życie. Nauczyłam się świetnie funkcjonować bez słuchu. Nie zrezygnuję z mojej pasji. Nigdy! – uśmiecha się Monika. – Za 40 lat, jeśli tylko zdrowie pozwoli, będę motocyklową babcią, może nawet najszybszą w Polsce. Jest na to szansa, ponieważ absolutnie nie zamienię też sportowego motocykla na choppera. I kto wie, może będę prowadzić kolumnę moich dzieci i ich wnuków, jadących na swoich maszynach?

Motocykle zawsze były w życiu Katanki pasją najważniejszą. Zanim skończyła 33 lata, przez jej garaż przewinęło się 20 różnych jednośladów. Od 2012 roku w Krakowie działa Moto-Szkoła Moniki Jaworskiej, w której każdy kto ma już prawo jazdy i chce nauczyć się jeździć lepiej, może szlifować technikę korzystając z instrukcji i przykładu mistrzyni. Ale nie tylko ta jedna miłość wypełnia jej życie.

” *Ponad wszystko stawiam rodzinę, która od najmłodszych lat wspierała mnie we wszystkim co robiłam, choć nie było im łatwo, szczególnie mamie, która nigdy mnie nie ograniczała, a wręcz inwestowała w moje coraz to nowsze pomysły na siebie. Tak samo było z motocyklami. Bała się o mnie, nie chciała godzić się na udział w wyścigach, jednak w końcu uległa, widząc, jaką radość sprawia mi ten sport. Zawsze mogłam liczyć na jej pomoc duchową, finansową i pełne wsparcie, choć boi się o mnie do tej pory. Natychmiast po wyścigu wysyła SMS-y z pytaniami: jak mi poszło, czy wszystko jest w porządku, a jeśli zbyt długo nie odpisuję, dzwoni. Tata jest za to bardzo dumny i skrupulatnie zbiera gazety, w których od czasu od czasu ktoś o mnie napisze. Cenię sobie dom rodzinny ponad wszystko. To właśnie tutaj, gdziekolwiek bym nie była, zawsze wracam, odnajdując spokój i miłość – mówi Monika.*

Mama Moniki ma powody do troski. Chyba nie ma motocyklisty, który nie zaliczyłby w swojej karierze serii mniej i bardziej bolesnych wywrotek. Na poznańskim torze w pierwszy dzień zawodów Monika przeżyła kraksę, która skończyła się pęknięciem kości miednicy. Ból był tak dotkliwy, że miała trudności z chodzeniem, ale oczywiście następnego dnia wystartowała. „Przeciwbólowo” zadziały zielone światła rozpoczynające wyścig. Skończyła go na trzecim miejscu.

Najszybsza Polka prócz węży i pajaków, czasami boi się też ludzi.

” *Pomimo doświadczenia, przecucia, o którym opowiadałam wcześniej, i miłości do motocykli, za każdym razem kiedy wyjeżdżam na ulicę, boję się o to, co zrobią inni użytkownicy drogi. Jest wiele sytuacji, których nikt nie potrafi przewidzieć i uratować. Jest też niestety wielu kierowców, którzy nigdy za kółkiem nie powinni się znaleźć – mówi.*

Może dlatego na torze czuje się bezpieczniej niż na drodze – bo nie ma tam kierowców przypadkowych?

Jak mówi – jest od wyścigów uzależniona. Od rywalizacji, adrenaliny i tego, co uskrzydla każdego człowieka.

” *Najpiękniejszym uczuciem, którego doświadczam podczas wyścigu, jest wolność – wyznaje.*





03

O MAĆKOWYCH MIEJSCACH
MIĘDZY GÓRAMI I MIĘDZY CHMURAMI,
CZYLI...

**CZŁOWIEK
USKRZYDLONY**





**MACIEJ
HORBOWSKI**



O MAĆKOWYCH MIEJSCACH MIĘDZY GÓRAMI I MIĘDZY CHMURAMI, CZYLI...



CZŁOWIEK USKRZYDLONY

W samym sercu Sudetów, w wiosce o stosownej nazwie - Międzygórze znajdziesz na pewno, jeśli zechcesz, gościnny dom. Dom ma swoje imię - Maciejówka. Gospodarz Maciej i gospodyni Bożena dbają, aby każdy, kto zawita w to uroczne miejsce, zechciał wrócić. I wracają ludzie do Maciejówki. Jej magnetyzm ma swoje źródło nie tylko w niezwykłym zakątku u podnóży Śnieżnika. Tu wraca się do szczęściarza Maćka, który nie chodzi, ale lata ponad szczytami gór i do jego ukochanej żony, która ratowała mu życie, kiedy na chwilę zgubił wiarę w jego sens. Oboje wiedzą, że wcale nie trzeba stąpać twardo nogami po ziemi, żeby być szczęśliwym.

Maciej z wielu pieców jadł chleb. Był pielęgniarzem, prowadził zakład gastronomiczny, a dziś prowadzi z żoną gospodarstwo agroturystyczne. O lataniu marzył od dziecka. Zaczął się do niego szykować jeszcze jako dzieciak puszczając z wiatrem papierowe jaskółki i sklejając modele samolotów. O paralotniarstwie nikt wówczas jeszcze w Polsce nie słyszał, a na szybownictwo mało kogo było stać. Z czasem klejenie modeli nie wystarczało, więc w głowie chłopaka z Międzygórza zaczął kleić się misterny plan na coś więcej. W końcu udało się - w 1999 roku pierwszy raz pofrunął na skrzydle paralotni po pełnię szczęścia. Spełnieniu chłopięcego marzenia towarzyszyła obłądnie cudowna myśl, że uczucie patrzenia na ziemię z wysokości latających orłów będzie mogło powtarzać się przez resztę życia.



13 maja 2001 roku splot okoliczności przyrody zadrwił z Maćkowych marzeń. Gdyby to była bajka, można byłoby napisać, że złośliwy duch – zazdrośnik chciał brutalnie przypomnieć latającemu człowiekowi, że jego miejsce jest na ziemi, a nie w chmurach ponad nią. To, co się wydarzyło pod Śnieżnikiem, z bajką nie ma jednak nic wspólnego. Ot, fizyka i odrobina anatomii, czyli samo życie.

Ludzie, którzy chcą dzielić widoki z ptakami, siłą rzeczy zdani są na prawa rządzące ruchami mas powietrza. Sprzymierzeńcem szybowników i paralotniarzy jest komin termiczny, czyli strumień wznoszącego się powietrza, który pozwala wygrać z grawitacją. Prócz kominów są też rotory – mocne zwirowania pojawiające się po zawietrznej stronie gór, cisnące w dół, w kierunku ziemi.

” Szybkość spadania w rotorze przekracza osiem metrów na sekundę. Mnie dopadło jakieś dziesięć metrów nad ziemią. Łatwo policzyć, że po mniej więcej sekundzie spadłem – opowiada Maciej. – To nie był żaden spektakularny wypadek, raczej kiepskie lądowanie z mocnym uderzeniem tyłkiem o ziemię, które skończyło się kompresyjnym złamaniem dwóch kręgów kręgosłupa oznaczonych w atlasach anatomii symbolami: Th12 i L1.

Th12 to krąg ulokowany nieco poniżej ostatniego żebra. L1 jest tuż pod nim. Jeśli pogruchotane kości uszkodzą w tym miejscu rdzeń kręgowy – czyli „sznur” z tkanki nerwowej biegnący wewnątrz kręgosłupa, dla człowieka – połamania wypadek niemal zawsze kończy się tak samo: nogi stają

się „nieczynne”. Parolotniarz, który kiedyś był pielęgniarzem, od razu wiedział, co się stało. Pamięta upadek, pamięta, że ktoś płakał, ktoś inny panikował.

” Uspokajałem towarzystwo, mówiłem, jak trzeba mnie ułożyć i co zrobić, jeśli stracę przytomność – wspomina Maciej, po czym szczerze przyznaje, że obok całkiem przytomnych myśli, które pozwoliły pokierować akcją ratowniczą, przemknęło mu wówczas przez głowę: „*będę inwalidą.... nie chcę tak żyć*”.

Prędko jednak przekonał się, że to nie była dobra myśl. Przecież najważniejsi w jego życiu ludzie kochali go wcale nie za to, że mógł biegać.

” Czarne myśli tuż po wypadku najprawdopodobniej wzięły się stąd, że doskonale wiedziałem, co mi się stało i nie miałem złudzeń: wózek... Bałem się, że będę uzależniony od innych. Przez wiele lat opiekowałem się pacjentami „przykutymi” do łóżek i wiem, jak to jest być skazanym na łaskę innych. To był po prostu strach, że mogę zmarnować życie najbliższym – nic więcej. Na szczęście nie byłem w stanie nic sobie zrobić, a to, co moja Bożenka robiła, żeby mnie ratować oraz to, ilu ludzi pospieszyło mi z pomocą udowadniając, że nie jestem sam, mobilizowało mnie, aby ich wszystkich nie zawieść – wspomina.



Nieszczęścia chodzą czasem parami. Tak było i w tej historii. Maciej zbierał się do życia po dramatycznym wypadku, gdy okazało się, że Bożena, której miłość trzymała go przy życiu, usłyszała fatalną diagnozę. Nie było żadnych dolegliwości, nic nie wskazywało, że coś jest nie tak z jej zdrowiem. Przebadła się profilaktycznie tylko dlatego, że nadarzyła się ku temu okazja, gdy Maciej musiał zrobić badania. Wykryto wówczas rzadki rodzaj guza, który rozwija się bezobjawowo. Zdążył już osiągnąć wielkość cytryny.

Nieszczęścia owszem – chadzają parami, ale równie często okazuje się, że nieszczęścia są potrzebne do szczęścia.

” *Może mój wypadek uratował jej życie? – zastanawia się Maciej. – To była praktycznie ostatnia dobra chwila na diagnozę. Gdyby nie te przypadkowe badania, byłoby za późno na skuteczne leczenie.*

Bożena wygrała życie, a Maciej bardzo szybko przekonał się, że aby latać, wcale nie trzeba chodzić.

2 maja 2002 roku - niespełna rok po wypadku, korzystając ze szpitalnej przepustki pofrunął.

” *Oczywiście byli ludzie, którzy mój pomysł skwitowali: „Wariat! Ledwie się połamał, a już pcha się do latania”. To było jednak silniejsze ode mnie. Tak działa pasja: jeżeli coś jest ważnym elementem twojego życia, nigdy z tego nie zrezygnujesz. Kto raz poczuł wiatr w skrzydle, ten nie da się uziemić. Pamiętam ten dzień jak gdyby to było wczoraj. Powiedziałem żonie, że chcę tylko postawić skrzydło. Poprosiłem, żeby mi pomogła. Oczywiście nie skończyło się na postawieniu skrzydła. Wystartowałem i wtedy pojawiło się fantastyczne olśnienie: tam na górze nogi są zupełnie niepotrzebne. W locie jestem znów pełnosprawny. I tak oto nie straciłem żadnego sezonu – opowiada Maciej Horbowski.*

Trzeba było jednak pójść na subtelny kompromis, żeby latanie cieszyło go jak dawniej, bo zanim mógł znaleźć się w górze i poczuć się wolnym, musiało mu pomagać kilka osób, dzięki którym mógł dotrzeć do miejsca, skąd da się wystartować. Czuł się z tym nieswojo, więc zaczął myśleć o silniku. Silnik ma swoje minusy – jest głośny i ciężki, ale ma też ogromną zaletę, pozwala na swobodę i pełną kontrolę lotu, na niezależność od wyżów, niżów i od ukształtowania terenu. Maciej kupił używany silnik i samodzielnie skonstruował wózek motoparalotniowy. Mógł z takim wyposażeniem startować nawet z podwórka przed Maciejówką i lądować, gdzie dusza zapagnie, bez niczyjej pomocy.

Pasja zwykle nagradza za poświęcony jej czas. Kilka lat po wypadku doczekał się pięknej nagrody – startując w składzie Reprezentacji Polski Motoparalotniarzy wywalczył w 2008 r. srebrny medal Mistrzostw Europy w Łomży, a w 2009 – brąz Mistrzostw Świata. Jest jedynym niepełnosprawnym członkiem Motoparalotniowej Kadry Narodowej.





Z czasem nauczył się też wszystkiego, co potrzebne, aby uskrzydlające uczucie wolności mogło pojawiać się nie tylko wtedy, gdy jest w górze. Do perfekcji opanował jazdę wózkiem, a później – rowerem napędzanym siłą rąk. Rowerowe wyprawy z żoną po szlakach wokół Śnieżnika dają mu mnóstwo radości i krzepę w rękach, która przydaje się, gdy nie można używać nóg.

” *Staram się robić wszystko. Na szczęście zdążyłem przed wypadkiem wybudować dom, splotzić syna i posadzić drzewo. „Techniczne” wyzwania zawsze były dla mnie frajdą, więc co mogę, robię sam w domu, przy samochodzie oraz przy moich jeżdżących i latających pojazdach. Fachowcy nie dorobią się na mnie – śmieje się Maciej. – Nawet oprządkowanie do auta, dzięki któremu mogę być kierowcą zrobiłem sam za parę złotych, aby nie dać się skroić na 2,6 tys. Mam dzięki temu satysfakcję, że żona i dziecko nie widzą we mnie niepełnosprawnego, a ja czuję się samodzielny.*

Maciej jest szczęśliwy. Dzieli życie z cudowną kobietą, a na dodatek to życie toczy się w cudownym miejscu.

” *Urodziłem się i mieszkam w najpiękniejszym zakątku na świecie. Doceniam to każdego dnia! Żeby tak tylko te zimy „odwołali”, byłoby jak w raju. Nasze Międzygórze determinuje całe moje życie. Kocham to miejsce. Ono daje mi siłę. Tylko tutaj czuję się u siebie i co za tym idzie – mam poczucie psychicznego bezpieczeństwa. Bożenka też pokochała ten skrawek ziemi, jest więc jak w piosence z Kabaretu Starszych Panów: jeżeli kochać, to nie indywidualnie. Obydwoje uwielbiamy jazdę rowerami po okolicznych wioskach. Uciekamy z asfaltu i wybieramy bezdroża. Lubimy też zatopić się w lekturze w naszej chatce – opowiada.*

Zapytany o marzenia i o plany, nie zastanawia się długo nad odpowiedzią:

” *Tylko byśmy zdrowi byli. Jakoś za materialnymi rzeczami nie mam tęsknoty. Powiedzenie „zdrowie najważniejsze” naprawdę ma sens – uśmiecha się Maciej. – I drugie – „grunt to rodzinka” – też! Niby frazesy, ale prawda. Żyję i cieszę się każdym dniem z moją Bożenką. Nie wyprzedzam myślami czasu. Jest takie przysłowie: „Chcesz rozśmieszyć Pana Boga – opowiedz Mu o swych planach”. Więc daję się ponieść temu, co niesie każdy dzień i ciągle na tej mojej życiowej drodze dzieje się coś dobrego i spotyka się kogoś ciekawego. Wypadek nie zmienił tego, co najważniejsze. Mam wokół siebie cudownych ludzi. Zawsze byłem aktywny i taki jestem nadal. Może tylko to się we mnie zmieniło po 13 maja 2001, że mam większy luz.*



A black and white portrait of a woman with long, wavy hair and glasses, smiling. The image is framed by a green border on the left and right sides. The number '04' is overlaid in the top right corner.

04

O KRÓLEWNIE IWONIE,
KTÓRA BUDUJE MOSTY,
CZYLI...

**CICHO SZA...
I WSZYSTKO GRA**



**IWONA
CICHOSZ**

O KRÓLEWNIE IWONIE, KTÓRA BUDUJE MOSTY, CZYLI...



CICHO SZA... I WSZYSTKO GRA

8 lipca 2016 roku w Las Vegas wybrano Miss Deaf International, czyli międzynarodową Miss Niesłyszących. Decyzją jurorów korona ozdobiła głowę 26-letniej Iwony. Po raz pierwszy w historii konkursu zwyciężyła Polka. Iwona pochodzi z Gdańska. Jest aktorką ulicznego Teatru Pinezka i tłumaczką języka migowego. Jeździ na jednokołowym rowerze czyli na monocyklu, chodzi na szczudłach, żongluje, cieszy się życiem, kocha ciszę, w której przyszła na świat i jest dumna z tego, że jest Głucha. Głucha przez duże „G”. Czemu? Właśnie dlatego, że jest z tego dumna.

Charakterna, płomiennowłosa dziewczyna jest córką niesłyszającej mamy i niesłyszającego taty. Wnuczką niesłyszających dziadków. Nie słyszy także jej siostra. To sprawa genów tej wyjątkowej rodziny. Jej członkowie podpisują się idealnie pasującym do nich nazwiskiem – Cichosz.

Trudno jest mówić będąc Głuchym. Nie słyszy się przecież własnego głosu. A jednak Iwona Cichosz umie mówić. Mówi pięknie: ciepłym, miękkim głosem i zaskakująco wyraźnie.

” Dzięki babci – uśmiecha się. – Gdy miałam 1,5 roku, zabrała mnie do logopedy. Nie lubiłam zająć z logopedą, ale babcia cierpliwie tłumaczyła, że gdy będę dorosła, będę się cieszyła, że umiem mówić. Miała rację. Codzienne ćwiczenia sprawiły, że nauczyłam się posługiwać swoim głosem i korzystać z aparatów słuchowych. Tym sposobem będąc dziesięcioletnią dziewczynką, stałam się dla własnej rodziny tłumaczem... języka polskiego mówionego.



Moje umiejętności przydawały się na przykład podczas wizyty u lekarza albo podczas załatwiania rozmaitych formalności urzędowych.

Nie wszyscy potrafią różnić się pięknie. Dlatego dzieci nieprzeciętne nie mają łatwego dzieciństwa i z tego samego powodu wspomnienia Iwony z podwórka dzielonego ze słyszącymi dziećmi nie należą do najmielszych.

” *Doświadczylam braku tolerancji. Często dzieciaki były wobec mnie okrutne. Nie umiały zaakceptować tego, że nie słyszę, więc stroniłam od podwórkowego towarzystwa. Ale kiedy poszłam do szkoły dla Głuchych, spotkałam rówieśników takich jak ja i mogłam nadrobić wszystkie towarzyskie braki – opowiada Iwona.*

Jako mała dziewczynka uwielbiała buszować w szafie w poszukiwaniu ciekawych ciuszków i butów mamy, przebierać się przed lustrem i skupiać na sobie uwagę domowników metamorfami z małej Iwonki w czarownicę, a z czarownicy w księżniczkę. Mama przyglądając się zabawom swojej pociechy, żartowała, że rośnie w domu Cichoszów aktorka, nikt jednak nie przypuszczał, że w tych żartach może tkwić prorocтво, bo nastoletnia Iwona wprowadziła swoich bliskich w zdumienie – okazało się, że najprawdziwszy teatr stoi przed nią otworem.

Drzwi aktorskiej kariery zaczęły się dla niej otwierać w 2004 roku, gdy pojechała na szkolny obóz artystyczny, na którym poznała Przemysława Grzędziłę - dyrektora gdańskiego teatru Pinezka. Prowadził obozowe warsztaty pantomimy. Iwona nie przepadała dotąd za szkolnymi przedstawieniami teatralnymi, w które angażowano ją i jej rówieśników, bo nauczyciele wymagali, aby na scenie używać głosu, a mówienie nie było jej najmocniejszą stroną. Pantomima okazała się jednak strzałem w dziesiątkę. Ma przecież tyle wspólnego z językiem migowym! Aktor wyraża emocje za pomocą ciała, słowa są zupełnie zbędne. Taki sposób komunikowania się jest bliski każdemu, kto nie słyszy. Wkrótce okazało się, że Iwona ma także inne talenty bardzo przydatne w aktorskim fachu: świetnie radzi sobie z chodzeniem na szczudłach, z jazdą na monocyklu, z żonglowaniem.

Jako 15-letnia dziewczyna została pełnoprawną aktorką ulicznego teatru i zaczęła jeździć z Pinezką po świecie. Już pierwszy poważny kontakt z wyjątkową sceną teatralną - ulicą, podczas festiwalu teatrów w 2005 roku w Jeleniej Górze zakończył się dla niej pewnością, że odnalazła swój żywioł.

” *Teatr uliczny jest czymś cudownie wyjątkowym. Aktorów nie oślepiają światła skierowane na scenę, więc można obserwować reakcje ludzi, natychmiast łączyć kontakt z publicznością. Poza tym artyści z różnych krajów, którzy spotykają się podczas festiwali, są dla siebie jak*



rodzina. Przejechać pół świata, żeby pobyc z nimi choć przez chwilę – to jest to, co bardzo, bardzo lubię – opowiada Iwona.

W 2010 roku rozpoczęła studia na Uniwersytecie Gdańskim. Wybrała kierunek zarządzanie. Już na początku studenckiej przygody przekonała się, że łatwo nie będzie. Wcześniej przez 13 lat uczyła się w szkole dla niesłyszących, w której nauczyciele migali. Uniwersyteccy wykładowcy nie migają i bardzo często zapominają, że jest wśród studentów ktoś, kto nie słyszy i nie ma szans nic zrozumieć, jeśli prelegent odwróci się nawet na chwilę plecami albo zakryje usta. Chodziła więc po zajęciach na konsultacje i korzystała z pomocy życzliwych koleżanek, które dzieliły się notatkami z wykładów. Dzięki temu skończyła studia i prędko nabrała apetytu na kolejne, tym razem na Uniwersytecie Warszawskim, na Wydziale Filologii Polskiej. Kierunek oczywisty – Polski Język Migowy. Została pierwszą w Polsce Głuchą tłumaczką z dyplomem.

Jest w Warszawie takie miejsce, gdzie grupa pasjonatów projektuje i buduje mosty między światem ludzi słyszących i Głuchych. Można znaleźć to miejsce w sieci za pomocą słowa – klucza: migam.

” *Przyjaciele namówili mnie, żebym złożyła tam swoje CV. Złożyłam. Dostałam zaproszenie na spotkanie i od tego spotkania zaczął się kolejny etap mojego życia, który wymagał ode mnie przeprowadzki z Gdańska do Warszawy. W Migam zaproponowano mi pracę, o jakiej mi się nawet nie śniło, do której codziennie idę z przyjemnością. Pracuję na stanowisku szefowej zespołu tłumaczy języka migowego i jestem zachwycona, że znalazłam się wśród utalentowanych ludzi, którzy myślą podobnie jak ja – opowiada Iwona.*

Choć Warszawa jest trochę daleko od Gdańska, rozstanie z teatrem Pinezka wcale nie okazało się definitywne.

” *Teraz gram gościnnie, czyli raz na parę miesięcy. Ale wciąż gram! – podkreśla mistrzyni pantomimy.*

W budowaniu mostów między światem ciszy, a światem dźwięków, co jest najważniejszym celem ekipy Migam, chodzi nie tylko o wykorzystanie nauki i technologii do ułatwienia komunikacji Głuchych ze słyszącymi. Na początek konieczne jest przekonanie ludzi, że „inny” wcale nie oznacza „słabszy”, ale też zwyczajne oswojenie z odmiernością.

” *Jeśli spotkasz mnie lub inną Głuchą osobę po raz pierwszy, to potraktuj nas jak obcokrajowców. Spróbuj spojrzeć na to w ten sposób, że Głusi to mniejszość kulturowo – językowa, która ma problemy bardzo podobne do innych obcokrajowców mieszkających w Polsce. Bądź otwarty, staraj się nawiązać kontakt, nie zrażaj się w wypadku braku zrozumienia ze strony osoby Głuchej. Możesz gestykulować albo pisać na kartce – tłumaczy Iwona.*





Możesz też oczywiście nauczyć się obcego języka – języka migowego.

„*Życie byłoby jeszcze piękniejsze niż jest, gdyby większość ludzi znała podstawy języka migowego. Przecież łatwiej jest nauczyć kogoś słyszącego migać, niż Głuchego mówić – dodaje Iwona.*

Dzięki nowoczesnej technologii każdy Głuchy może wejść do świata dźwięków. Tę możliwość dają aparaty słuchowe.

„*Są genialne – dzięki nimi mogę słyszeć śpiew ptaków, szum wiatru – uśmiecha się Iwona Cichosz.*

Ale nie korzysta z nich zawsze i wszędzie. Gdy budzi się, nie od razu sięga po aparat. Jest „schowana” w ciszy, dopóki nie będzie gotowa otoczyć się dźwiękami. Lubi tę ciszę.

„*Gdy śpię, w pokoju obok może odbywać się impreza. Ludziom często przeszkadza w pracy hałas i zamieszanie wokół nich. A ja, gdy w biurze jest za głośno, wyłączam aparaty słuchowe i mogę spokojnie skupić się na tym, co robię – tłumaczy. – Właściwie nie umiem wskazać negatywnych aspektów niesłyszenia poza tym, że stanowi barierę w komunikacji z osobą słyszącą.*

Gdyby ktoś kiedyś wymyślił konkurs Miss Radości, Iwona byłaby znów idealną kandydatką do korony. Cieszy się życiem, potrafi swoją radością skutecznie zarażać innych, wyciska z każdego dnia tyle szczęścia, ile tylko się da, nie zaprzatając myśli planowaniem, co będzie za 10, 20, 30 lat.

” Wierzę, że moja historia życia jest gdzieś zapisana, ale przyszłość nadejdzie kiedyś, natomiast teraźniejszość bardzo szybko znika, więc po prostu żyję chwilą, tu i teraz. Kiedyś planowałam i kiedy okazywało się, że nic nie wychodzi z tych planów, byłam rozgoryczona, więc powiedziałam: „stop”. Odkąd przestałam intensywnie myśleć o przyszłości, jestem szczęśliwsza, życie jest dla mnie bardziej zaskakujące, bardziej doceniam to co mam. Oczywiście jak każdy – ja też mam marzenia dotyczące przyszłości. Chciałabym jak najdłużej być zdrowa, marzę o prawdziwej miłości na całe życie i o tym, abym mogła nadal podróżować i poznawać świat, przebywać z bliskimi mi ludźmi – wylicza.

Dla spragnionych radości, wyczekujących niecierpliwie na życiowe szanse, wątpiących i zapatrzonych w swoje deficyty, ma stuprocentowo pewną – sprawdzoną receptę na życiowy i zawodowy sukces:

” Sukces jest zależny od Ciebie. Jeśli czegoś chcesz, wierzysz w swoje możliwości, jesteś cierpliwy, masz świadomość, że porażki są nieuniknione – to możesz wszystko osiągnąć. Żadna niepełnosprawność nie ma na to wpływu – podpowiada lwona, królowna budująca mosty.



A black and white portrait of a woman with short, wavy hair, looking directly at the camera with a slight smile. She is wearing a light-colored collared shirt. The image is framed by green vertical bars on the left and right sides.

05

O ŻYCIU Z PASJĄ,
CZYLI...

**O TYM JAK AGATA
DMUCHA LUDZIOM
W SKRZYDŁA**

A portrait of a woman with short, wavy blonde hair, looking directly at the camera. The image is overlaid with a semi-transparent green filter. She is wearing a light-colored, button-down shirt. The background is a soft, out-of-focus white.

**AGATA
SPAŁA**

O ŻYCIU Z PASJĄ, CZYLI...



O TYM JAK AGATA DMUCHA LUDZIOM W SKRZYDŁA

Były słowa-lekarstwa działające przeciwbólowo i uodparniająco: „jesteś wyjątkowa, cudowna i bardzo, bardzo silna”. Były ciężkie treningi codziennych wyzwań: gotowania, sprzątania, prania, prasowania, perfekcyjnego makijażu. Nie było taryfy ulgowej. – Nikt nie zrobi tego za ciebie. Rób to wolniej, po swojemu, ale rób sama – mówiła Grażyna. – Jeśli się przewrócisz, trudno. To nic strasznego. Opatrzymy kolano.

Terapia, jaką dzielna mama wdrożyła swojej ukochanej córeczce chorej na zanik mięśni, okazała się skuteczna. Gdy zdiagnozowano chorobę, lekarze uświadamiali Grażynę, że Agatka owszem – ma szansę dorosnąć, ale nadzieja, że doczeka trzydziestych urodzin jest niewielka. Nie spodziewali się, że mądra miłość czyni aż takie cuda.

” Już wyprzedziłam te rokowania. Trzydzieste piąte urodziny mam za sobą i nic nie wskazuje na to, abym miała prędko żegnać się z życiem. Może drugie tyle przede mną? Myślę, że doczekam dnia, gdy medycyna ogłosi zwycięstwo nad moją chorobą. To kwestia czasu – uśmiecha się Agata.

Urodziła się i wychowywała w Ostrowcu Świętokrzyskim. Jako nastolatka jeszcze stała w miarę pewnie na własnych nogach, ale zanik mięśni to choroba postępująca, więc z chodzeniem było coraz trudniej. W wieku, gdy każdy młody człowiek z pasją odkrywa, że świat będący w zasięgu spaceru lub rowerowej przejażdżki jest ogromny i ciekawy, świat dostępny dla Agaty zaczął się kurczyć. W pewnym momencie ograniczał się już tylko do kilku bloków osiedla, na którym dorastała.



” Aż wreszcie uświadomiłam sobie, że albo zaprzęgnię się z wózkiem, który będzie dla mnie sposobem na samodzielność, albo moje życie będzie się toczyć niemal wyłącznie w czterech ścianach domu – mówi. – Miałam wtedy 16 lat. Pamiętam doskonale ten „pierwszy raz” i tę treść. Bałam się patrzeć na ludzi, których mijałam, nie wiedząc jak zareagują. Okazało się, że nie było, czego się bać. No i dotarło do mnie, że w momencie, gdy zdecydowałam się skorzystać z wózka, otworzyły się przede mną drzwi do spotkań z przyjaciółmi już nie tylko w domu i na osiedlu. Bo zanim usiadłam na wózku, mogłam wyjść najwyżej przed blok. Na dalsze wyprawy brakowało sił.

Czy na spotkania ze znajomymi wychodzi się na własnych nogach, czy trzeba użyć wózka – to mało ważne. Znacznie ważniejsze jest co z tych spotkań wynika i co po nich pozostaje. Agata zawsze miała wokół siebie ludzi, z którymi spotkania rodzą ciepłe myśli i dobre wspomnienia.

” Oczywiście nie wszystkie dzieciaki rozumieją co to jest niepełnosprawność, nie wszystkie akceptują kogoś, kto się od nich różni. Potrafią być złośliwe, czasem okrutne. Zdarzały się więc w moim dzieciństwie trudne momenty związane z takimi właśnie reakcjami na moją inność, ale zawsze w takich chwilach miałam obok siebie kolegów i koleżanki,

którzy stawali za mną murem. A kiedy w liceum nie mogłam dojeżdżać do szkoły i musiałam korzystać z indywidualnego nauczania, moja klasa przyjeżdżała do mnie do domu na te wcale nie takie indywidualne już lekcje... Nigdy nie byłam dzieckiem osamotnionym, odizolowanym od rówieśników. To zasługa mojej mamy. Nie było trzymania chorej Agatki pod kloszem, był za to piękny przykład nawiązywania relacji. Czymś zupełnie naturalnym było to, że wychodzę do ludzi z uśmiechem, z humorem, z otwartością. Może właśnie dlatego zawsze miałam wokół siebie przyjaciół? Wiem, że to mocno wpłynęło na moje dorosłe życie, na umiejętność budowania prywatnych i zawodowych relacji. Często zresztą słyszę od ludzi, z którymi los krzyżuje moje ścieżki, że burzę ich osobiste wyobrażenia o osobach niepełnosprawnych. „Bo Ty jesteś taka normalna” – mówią – śmieje się Agata.

Poza tym, że trzeba było uczyć się w domu, a nie w szkole, jeździć na rehabilitację do sanatorium i dużo ćwiczyć, aby trzymać formę – dzieciństwo i młodzieńcze lata Agaty były zupełnie dziewczęco – „typowe”. Zakochiwała się i odkochiwała, podpatrując mamę trenowała sztuczki robienia makijażu, cieszyła ją nowe sukienki.

” Przecież ani niepełnosprawność, ani wózek inwalidzki nie są żadną przeszkodą w tym, aby móc czuć się atrakcyjną dziewczyną, a później kobietą – tłumaczy.



Apetyt na życie sprzyja odważnym decyzjom. Odważna decyzja to często jedyny sposób, aby sięgnąć po szczęście. Agata wkrótce po oswojeniu wózka sięgnęła odważnie i daleko – na odległość prawie dwustu kilometrów dzielących Ostrowiec od Warszawy, gdzie w ofercie warszawskich uczelni wypatrzyła szansę na swoje osobiste spełnienie.

”

Nie miałam w stolicy żadnej cioci, wujka, babci... nikogo, kto mógłby pomóc, gdy okazałoby się, że nie poradzę sobie bez wsparcia. Wiedziałam tylko tyle, że budynek Akademii Pedagogiki Specjalnej, którą wybrałam, jest dostępny dla osób poruszających się na wózkach inwalidzkich. Ale przecież budynek uczelni to nie wszystko. Trzeba jakoś do niego dotrzeć. Autobusy niskopodłogowe nawet w Warszawie kursowały wówczas sporadycznie. Nie wiedziałam, jak to będzie. Mama przyjechała ze mną na dwa dni i musiała wrócić do Ostrowca. Obie dzieliłyśmy ten sam niepokój, ale wiedziałam, że skoro już tu jestem, nie ma odwrotu, zrobię wszystko, by zrealizować marzenie o samodzielności i niezależności. Tak się to zaczęło. I udało się. Skończyłam studia magisterskie, później podyplomowe z doradztwa zawodowego i zostałam w Warszawie, gdzie dostałam propozycję zatrudnienia w organizacji pozarządowej, która pomagała osobom niepełnosprawnym w znalezieniu pracy – opowiada Agata.

Po ośmiu latach na etacie nabrała apetytu na coś więcej. Postanowiła przetestować swoją niezależność w życiu zawodowym, więc podjęła kolejną odważną decyzję: podziękowała pracodawcy za cenne doświadczenie i otworzyła firmę z ofertą doradztwa zawodowego oraz szkoleń dotyczących zatrudniania osób niepełnosprawnych. Byli tacy, którzy pukali się w czoło, widząc co robi. Bo niby jakie myśli może mieć ktoś zadomowiony w strefie komfortu, przywiązany do poczucia bezpieczeństwa i do myślenia w kategoriach stereotypów? „Nieuleczalnie chora dziewczyna rezygnująca z ciepłej posady, ze stabilnego zatrudnienia i rejestrująca własną działalność? Żart? A może choroba zaatakowała zdrowy rozsądek?”.

Takie reakcje niedowiarków i wszystkie inne „kłody pod nogi” dały przekorny efekt – Agata Spała jest szefową dla samej siebie, podziwianą businesswoman, doradcą zawodowym, ekspertką w zagadnieniach z zakresu aktywizacji zawodowej i zatrudniania osób niepełnosprawnych. Podjęła się zawodowej misji „oswajania niepełnosprawności” w środowisku pracy poprzez szkolenia dla kadry zarządzającej i pracowników firm. Uczy komunikacji i współpracy z pracownikami niepełnosprawnymi. Doradza, jak przystosować stanowiska pracy dla osób niepełnosprawnych. Tłumaczy, jak obsługiwać niepełnosprawnego klienta. Jest trenerką, coachem kandydatek do tytułu Miss Polski na Wózku. A gdy przychodzi czas na urlop, ma olbrzymią frajdę z zupełnie innego rodzaju aktywności – podróżowania i czasem... nurkowania. Do przygody z nurkowaniem zaprosiła ją przyjaciółka z czasów dzieciństwa spędzanego w zakopiańskim sanatorium – Angelika. Też chora na zanik mięśni. Też szczęśliwa. Też śliczna. Też sięgająca po osobiste i zawodowe sukcesy. Jak to się dzieje?





” Wszędzie i w każdej sytuacji można iść do przodu pamiętając, że droga do sukcesu nie jest prosta. Początki mojej zawodowej samodzielności też nie były łatwe. Najpierw musiałam pokonać wiele obaw i barier, zanim podjęłam decyzję o założeniu firmy, a później ciężko pracować, aby zdobyć klientów. Wiedziałam, że wraz z usługami, jakie oferuję, muszę dać ludziom wartość, z której będą zadowoleni, ale to akurat dosyć łatwo mi przychodzi, bo moja praca jest jednocześnie moją pasją. Podchodzę do pracy ambicjonalnie, więc mam efekty – opowiada Agata. – Wiedziałam też, że nie mogę poddawać się w obliczu porażek. One przecież zawsze będą, zdarzają się każdemu. Trzeba potraktować je przekornie: gdy jestem w dołku, wiem, że to chwilowy stan, że będzie lepiej. I jeszcze jedno: trzeba podejść do ludzi bez kompleksów. My sami kreujemy to jak ktoś nas odbierze. Jeżeli idąc na spotkanie biznesowe nie jestem przekonana o swoim pomysłe albo czuję się „niżej” niż osoba, z którą rozmawiam, to automatycznie tak też jestem odbierana. Idę więc pewna siebie. Wiem, że to działa.

Siłą napędową Agaty są zmiany w życiu ludzi, którym pomaga. Ktoś niepełnosprawny wyszedł do świata, znalazł pracę, jakiś pracodawca jest zadowolony z pracowników, których zatrudnił, udało się zdobyć dofinansowanie na inwestycję przystosowania firmy dla niepełnosprawnych pracowników, zmieniło się czyjeś myślenie o niepełnosprawności, ktoś niepełnosprawny, kto dotąd żył bez pasji, dał się przekonać, że postawa życzeniowa wobec świata do niczego dobrego nie prowadzi, że choroba nie zwalania z bycia aktywnym... To wszystko dzieje się codziennie, więc siłą napędową nie brakuje.

” To świetne uczucie - dodawać ludziom mocy. Szczególnie takim, którzy myślą o sobie, że są bezsilni. Tymczasem okazuje się, że wystarczy im tylko troszkę dmuchnąć w skrzydła, żeby nabrali rozpędu i poleciali wysoko – mówi Agata Spała.

Poza pracą ma jeszcze jedno źródło mocy – miłość. Od lat tę samą. Ma na imię Marek. Marek jest zdrowy. Przypadkowe spotkanie w klubie dało początek cudownej znajomości, wspólnym marzeniom, nadziejom, radościom.

W „szufladce” pod hasłem marzenia są podróże:

” Wyjechać gdzieś na trzy miesiące po prostu po to, żeby sobie pożyc wśród innych ludzi, w innej kulturze, ponurkować, może skoczyć ze spadochronem... Gdzie chciałabym pojechać? W wiele miejsc. Na przykład do Azji.

Jest też marzenie związane z biznesem:

” Rozbudować firmę. Być może za granicą. Zatrudnić w niej ludzi z pasją. Być niezależną finansowo i zbudować finansową stabilizację. Po to, abym nie musiała martwić się,

czy dostanę dofinansowanie na wózek czy rehabilitację. Pieniądze mają dla mnie jeszcze jedną – bardzo ważną wartość – są środkiem do celu: pomagać innym.

I z domem:

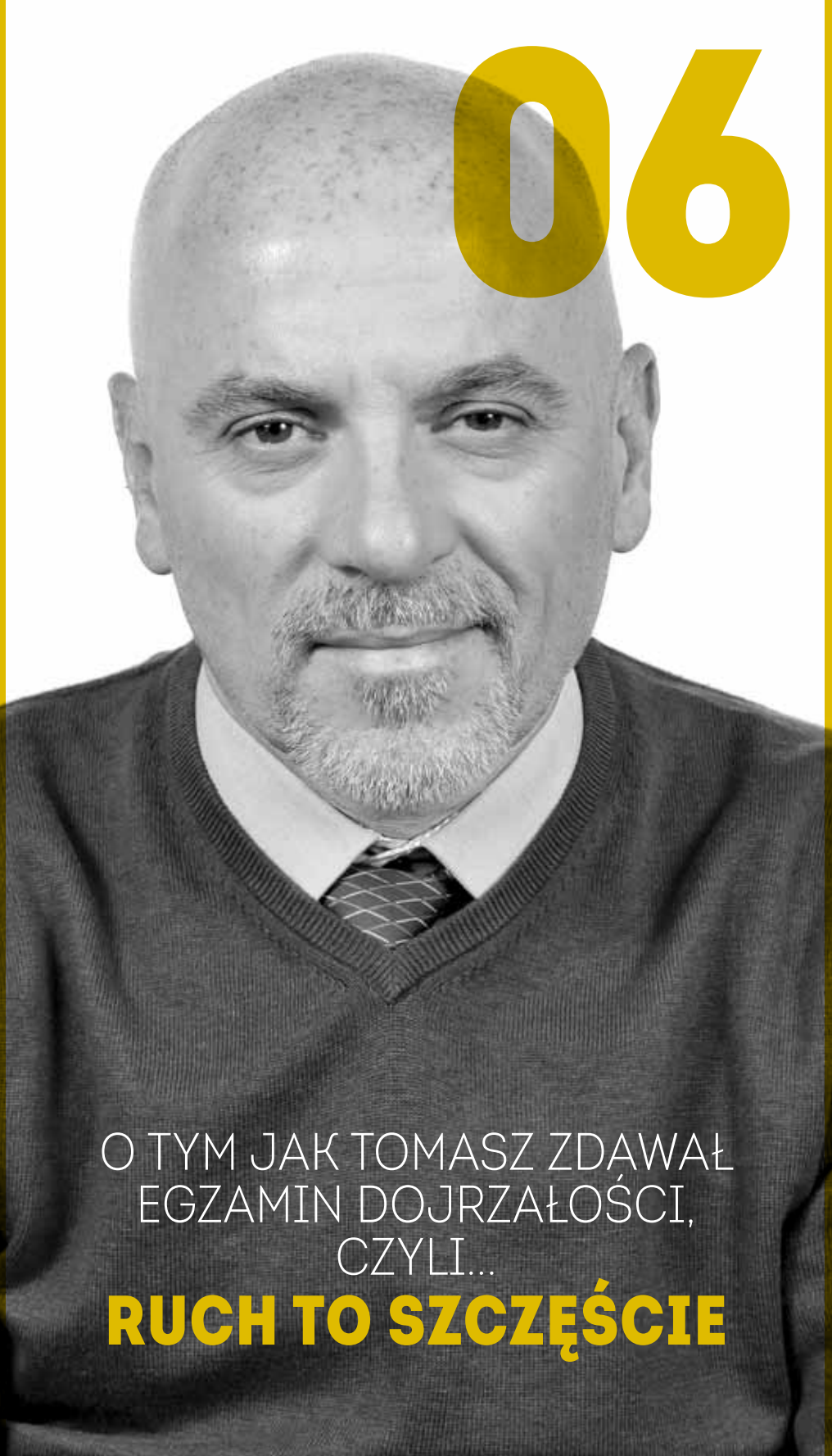
” Szczęśliwym, pełnym miłości. Z drzwiami zawsze otwartymi dla przyjaciół.

Marzenie o tym, aby wyzdrowieć, też spokojnie czeka sobie na dzień szuflady.

” Może za rok, a może za pięć lat będzie lekarstwo na moją chorobę. A może trzeba będzie czekać dłużej? Nie skupiam się na czekaniu. Nie skupiam się też na chorobie, bo to nie przynosi nic dobrego. Żyję tu i teraz. Tak sobie kiedyś pomyślałam, co chciałabym czuć, gdybym musiała odejść z tego świata. I dobrze to wiem: chciałabym mieć satysfakcję z tego, że żyłam z pasją. Wydaje mi się, że zbyt rzadko zadajemy sobie pytanie, po co tu jesteśmy i gdzie chcemy kiedyś być. I zbyt często obrażamy się na wszystkich i wszystko po kolei – na ludzi, na Boga, na wszechświat. Mamy żal o małe i większe nieszczęścia. O to, że czasem boli. W tym żalu zapominamy, że trudne momenty mogą być bodźcem do pięknych zmian. A przecież zawsze jest w nas mnóstwo energii i tyle dobrych rzeczy może z niej wyniknąć. Warto żyć z pasją.





A black and white portrait of a middle-aged man with a shaved head and a goatee, wearing a dark V-neck sweater over a collared shirt and a patterned tie. The portrait is set against a white background, which is framed by yellow vertical bars on the left and right sides. A large yellow number '06' is positioned in the top right corner.

06

O TYM JAK TOMASZ ZDAWAŁ
EGZAMIN DOJRZAŁOŚCI,
CZYLI...

RUCH TO SZCZĘŚCIE



**TOMASZ
TASIEMSKI**

O TYM JAK TOMASZ ZDAWAŁ EGZAMIN DOJRZAŁOŚCI, CZYLI...



RUCH TO SZCZĘŚCIE

Tomasz Tasiemski zdawał egzamin dojrzałości dwa razy. Raz była to klasyczna matura, do której przystąpił w Wadowicach – w tej samej szkole, w której pół wieku wcześniej uczył się Karol Wojtyła. Poszło pięknie. Z drugim, znacznie trudniejszym egzaminem z życiowej dojrzałości, musiał zmierzyć się mając 25 lat. Bez komisji egzaminacyjnej i bez czasu na przygotowanie się. Zero teorii. Sama praktyka. Zadanie było ekstremalne: tracisz władzę w nogach i rękach, tracisz pracę, którą miałeś, zostajesz sam ze swoimi myślami, ze światem pełnym barier, z ciałem nieposłusznym twojej woli i z najbliższymi ludźmi, którzy mogą ci odrobinę pomóc. Radź sobie. Jeśli zdasz – wygrasz szczęście. Zdał celująco.

Tomek miał wszystko, co potrzebne do szczęścia: skończone studia na poznańskiej Akademii Wychowania Fizycznego, gibkie ciało wytrenowane podczas zajęć na wydziale trenerskim gimnastyki sportowej i pracę, która jednocześnie jest pasją. Nawet nie musiał tej pracy szukać. Zaproponowano mu – jak to często bywa w przypadku najlepszych studentów, aby został pracownikiem uczelni w zakładzie sportów zimowych. Prowadził zajęcia z narciarstwa zjazdowego i z hokeja na lodzie.

Oprócz tego uprawiał wspinaczkę skałkową, był pilotem szybowca, skakał ze spadochronem, biegał i pływał.

W upalną niedzielę 8 lipca 1990 roku wybrał się z przyjaciółmi popływać w Jeziorze Jarosławieckim w Wielkopolskim Parku Narodowym. Skarpa nad wodą skusiła chłopaków do treningu skoków.

Podczas rozbiegu pomylił kroki...

”

Najpierw poczułem uderzenie głową w dno jeziora, a później – że unoszę się na wodzie bezwładnie. Ktoś zobaczył, że nie mogę wydostać się z wody i podbiegł, aby mnie ratować. Cały czas byłem przytomny i powoli uświadamiałem sobie, co dokładnie się stało – kręgosłup nie wytrzymał uderzenia. Nie czułem stóp szorujących po piasku, gdy mnie wyciągano. O takich wypadkach uczyłem się przecież na studiach – wspomina Tomasz.

W szpitalu potwierdzono jego przypuszczenia: złamanie kręgosłupa w odcinku szyjnym, w miejscu oznaczonym w atlasach anatomii symbolami C6 – C7. Efekt: tetraplegia, czyli porażenie czterokończynowe.

Na operację, która przywróciła stabilność kręgosłupa w miejscu złamania, trzeba było czekać dwa tygodnie. Przywrócenie stabilności wcale nie oznaczało jednak powrotu utraconego czucia oraz odzyskania utraconych funkcji ruchowych nóg i rąk. Długie miesiące spędzone w szpitalach upływały na poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie: co dalej?

Tymczasem mijała zima – pierwsza, odkąd Tomek sięgał pamięcią, „bezczynna” pod względem sportowym.

Na niezgrabnym, ciężkim wózku inwalidzkim wrócił do rodzinnego domu w Wadowicach wciąż z tym samym pytaniem: co dalej?

Był to czas pierwszych lat wdrażania w Polsce wzorowanego na szwedzkich doświadczeniach programu aktywnej rehabilitacji dedykowanego ludziom, którym z powodu urazów rdzenia kręgowego wózek musiał zastąpić nogi.

Tomasz pojechał na obóz aktywnej rehabilitacji i doznał tam olśnienia - przekonał się, że jest szansa sięgnąć po samodzielność. Trzeba tylko bardzo cierpliwie trenować mięśnie, których połączenia z centralnym układem nerwowym ocalały. Wyciskać z nich maksimum. Pogodzić się z tym, że efekty żmudnego siłowania się z ograniczeniami własnego ciała przychodzą powoli, ale za to są bezcenne, bo dają szansę na powrót do normalności czyli do aktywności. Uświadomił sobie, że będzie lepiej, ale na idealnie nie ma co liczyć, dopóki nauka nie wykona milowego kroku do przodu w dziedzinie wspomagania regeneracji tkanki nerwowej w rdzeniu kręgowym. Funkcje rąk częściowo wrócą. Sprawność palców - niekoniecznie. Trzeba więc pogodzić się z koniecznością dokonania korekty marzeń. Cała dotychczasowa przygoda z życiem wiązała się z przyjemnym balansowaniem na granicy ryzyka. Teraz przyszedł czas na znacznie bardziej męskie wyzwanie: udowodnić sobie i innym, że można pięknie i aktywnie żyć nie mogąc biegać, chodzić po schodach, wspinać się po pionowej ścianie.





Z tygodnia na tydzień coraz mniej zdarzało się sytuacji, w których Tomasz potrzebował czyjejś pomocy. Stawiał przed sobą coraz śmielsze cele: wrócić do pracy na uczelni, wrócić do sportu.

Rodzina i przyjaciele nie zawiedli. Pomagali najmądrzej jak można pomóc - szukając szans, gdzie tylko się dało. „Szukajcie a znajdziecie” – napisano w pewnej ponadczasowej księdze, i tak się stało.

Pewnego dnia Michał Tasiemski – tata Tomasza trafił przypadkowo na telewizyjną relację z odbywających się gdzieś w Europie Zachodniej zawodów narciarstwa alpejskiego dla niepełnosprawnych sportowców. Zdziwiony przyglądał się sprzętowi, który umożliwiał szusowanie po stoku ludziom, którzy nie mogą chodzić. Było to stabilne, ale zgrabne siedzisko połączone amortyzowaną ramą z jedną typową nartą - mono-ski. Można nim szusować po stoku mając „nieposłuszne” nogi.

” *Tata jest anglistą, trafił na tę relację na jakieś anglojęzycznej stacji i natychmiast zaczął zarażać mnie myślą o tym, żeby spróbować. Nikt wówczas w Polsce z czegoś takiego nie korzystał. Znaleźliśmy kontakt do producenta sprzętu. Firma miała siedzibę w Szwajcarii. Okazało się jednak, że to absurdalnie droga rzecz, a na dodatek nie sprzedają sprzętu, zanim nie upewnią się, że ktoś, kto go kupi, rzeczywiście będzie mógł bezpiecznie jeździć. Uprzejmie zaprosili mnie na kurs. Oczywiście kurs wyceniony na szwajcarską kieszęć. Wydawało się, że ta przygoda będzie poza moim zasięgiem, ale miałem mnóstwo szczęścia. Ambasada Szwajcarii w Polsce sfinansowała wyjazd. Pojechałem z ojcem. Wróciłem na stok. To było coś, co wyznaczyło na nowo rytm mojego życia – opowiada Tomasz.*

Dzięki ojcu i pomocy życzliwych ludzi, pierwszy utracony sezon narciarski okazał się ostatnim, który musiał sobie odpuścić. Po roku treningów wystartował w zawodach.

Udało się też spełnić cel równoległy - wrócić do pracy na uczelni.

” *Znów zadziałała drużyna przyjaciół – uśmiecha się Tasiemski. – Za sprzedany talon na „małego fiata” kupiłem Poloneza Trucka, którym mogłem jeździć. Ojciec znajomego, który był architektem miasta Poznania i miał kontakty w spółdzielni mieszkaniowej, pomógł zorganizować dostępne dla mnie mieszkanie, a koledzy ze studiów i profesor Aleksander Kabsch, mój mentor i promotor doktoratu, przetarli dla mnie drogę powrotu do pracy dydaktycznej. Zapropionowano mi prowadzenie zajęć ze studentami fizjoterapii.*

Życie nabrało szalonego tempa. Dwa lata po wypadku – w 1992 roku Tomasz rozpoczął pracę ze studentami rehabilitacji w Zakładzie Kinezyterapii. W 1994 jako pierwszy Polak na mono-ski wystartował w VI Zimowych Igrzyskach Paraolimpijskich w Lillehammer. Prawdopodobnie jest jedynym alpejczykiem w światowej historii narciarstwa z tak wysokim poziomem urazu.



Potwierdzili to trenerzy U.S. Ski Team w 1999 r. w czasie szkolenia polskiej kadry mono-ski w Narodowym Centrum Sportu Niepełnosprawnych w Winter Park w Kolorado, którzy technikę narciarską ambitnego Polaka z tak poważną dysfunkcją jak tetraplegia uznali za fenomen.

W 1997 r. we współpracy ze Sportowym Stowarzyszeniem Inwalidów „Start” w Poznaniu Tomasz zorganizował pierwszy w Polsce obóz narciarstwa wodnego dla osób z urazami kręgosłupa. Współpraca ze „Startem” zaowocowała też pionierskim projektem rozwoju narciarstwa zjazdowego osób po urazach rdzenia kręgowego w Polsce. W tym samym roku obronił doktorat.

Widząc efekty jego pracy, władze poznańskiej AWF dostrzegły, że przedmiot który stworzył i wykłada (aktywna rehabilitacja), jest bliższy sportowi niż kinezyterapii i zdecydowały o „przeprrowadzce” uczelnianej działalności Tomasza do Katedry Kultury Fizycznej Osób Niepełnosprawnych.

Swoją naukową pracę poznański sportowiec poświęcił badaniom związanym z aktywnością ruchową niepełnosprawnych. Napisał m.in. podręcznik zawierający kompendium wiedzy na temat usprawniania osób z urazami kręgosłupa oraz techniki jazdy na wózku.

Efekty jego zaangażowania doceniono nie tylko w Polsce. W uznaniu dla osiągnięć naukowo-badawczych doktora habilitowanego Tomasza Tasiemskiego Komisja Europejska w Brukseli

powołała go do pełnienia roli eksperta oceniającego wnioski o granty badawcze. Zaproszono go także do udziału w pracach międzynarodowych organizacji naukowych zajmujących się zagadnieniami leczenia i rehabilitacji osób niepełnosprawnych. Służy więc swoją wiedzą między innymi International Spinal Cord Society jako międzynarodowy ekspert w zakresie aktywnej rehabilitacji.

”*Tak się pięknie złożyło, że dzięki pracy naukowej mogę spełniać swoją drugą obok sportu życiową pasję – podróżuję. Jestem zapraszany do prowadzenia wykładów dla pracowników służby zdrowia i rehabilitantów na całym świecie. Prowadzę też obozy rehabilitacyjne dla osób po urazach kręgosłupa* – wyjaśnia Tomasz.

Odwiedził już ponad 50 krajów. Z misją uczenia ludzi, jak osiągnąć samodzielność po wypadkach podobnych to tego, jaki sam przeżył, pracował w 16 krajach. Uczył aktywnej rehabilitacji między innymi w Chinach, Indiach, Nepalu, Bangladeszu, Tajlandii, Wietnamie, Malezji, Rumunii, Albanii, Gruzji, Rosji... Ambasador Wielkiej Brytanii za całokształt działalności naukowej i charytatywnej uhonorował go tytułem „Stypendysty Królowej”.



”

Był taki rok, kiedy wylatywałem z Polski 26 razy – śmieje się.

Prywatnie Tomasz Tasiemski jest szczęśliwym mężem swojej byłej studentki – fizjoterapeutki Agaty i dumnym tatą dwójki dzieci: Julki, która przyszła na świat w 2000 r. oraz 8 lat młodszego Kubę. Wybudował pod Poznaniem dom. Posadził drzewo.

W 2016 r., gdy miałam przyjemność wysłuchać jego opowieści, świętował 51 urodziny mając wielki apetyt na życie, niezmienny od czasów studenckich. Wciąż głodny kolejnych podróży, zimowych wypadów na narty, letnich wypraw rowerowych możliwych dzięki temu, że ktoś wymyślił handbike - czyli rower napędzany siłą rąk, szykujący się do zdobycia kolejnego celu, jakim jest profesura zwyczajna, rozglądający się za wyzwaniem...

Był wówczas w trakcie kursu przygotowującego do zdobycia licencji szybowcowej. Licencję paralotniową już ma. Planował też sięgnąć po koronę kariery naukowej, czyli tytuł profesora zwyczajnego na poznańskiej AWF.

”

Świat jest taki ciekawy! A ja uwielbiam wyzwania. Lubię się sprawdzać. Zdecydowanie nudzi mnie stagnacja. Chyba właśnie takie podejście okazało się kluczem do szczęścia, które odnalazłem po tym, co stało się latem 1990 roku – mówi Tomasz Tasiemski.





A black and white portrait of a young man with short, dark hair, looking directly at the camera. He is wearing a dark t-shirt. The image is framed by orange vertical bars on the left and right sides. A large orange number '07' is overlaid in the top right corner.

07

ZACZAROWANY OŁÓWEK,
CZYLI...

**MARIUSZ RYSUJE,
MARIUSZ BUDUJE**



**MARIUSZ
KĘDZIERSKI**

ZACZAROWANY OŁÓWEK, CZYLI...



MARIUSZ RYSUJE, MARIUSZ BUDUJE

Im więcej kłód zostanie mi rzuconych pod nogi, tym lepiej. Kiedyś wybuduję z nich dom – uśmiecha się Mariusz. Właściwie mały domek mógłby już postawić, bo życie go nie rozpieszczało. Podłogi z biedy, dach z samotności, ściany z zawiedzionych nadziei, płot z bólu... Wystarczy zmontować to wszystko i pstryk: zapalić światło radości, żeby zapomnieć, czym kiedyś były kłody. Mariusz to wie. Szare, mądre oczy chłopaka patrzą trochę figlarnie, trochę marzycielsko. Nie ma w nich niepewności. Jest w nich talent dostrzegania emocji i utrwalania ich ołówkiem na kartce papieru. Każdy ma talent, choć nie wszystkim udaje się ten talent odnaleźć w zakamarkach duszy. Mariusz znalazł. Gdy zaczął się nim dzielić, ludzie zaniemówili z zachwytu i ze zdziwienia. Bo któż by się spodziewał, że chłopak, który urodził się bez dłoni, może rysować tak, że na pierwszy rzut oka trudno rozpoznać, czy to rysunek czy może fotografia.

Urodził się w 1992 roku w Świdnicy, wychowywał w Jaworzynie Śląskiej – małym miasteczku na Dolnym Śląsku, gdzie niemal wszyscy wszystkich znają. Przyszedł na świat z wadą rozwojową rąk. W lewej ręce brakuje przedramienia, w obu – dłoni.

- Matka natura dała ciała w moim przypadku, ale moja mama Jolanta stanęła na wysokości zadania. Bardzo dużo jej zawdzięczam. W najważniejszym momencie mojego życia, to znaczy wtedy gdy pojawiłem się na świecie, nie zostawiła mnie w szpitalu. Zawsze we mnie wierzyła, broniła mnie jak lwica, gdy ktoś na mnie krzywo popatrzył i goniła do księżek, przekonując, że przecież rowów kopat nie będę. A dziś jest ze mnie dumna – opowiada Mariusz.

Łatwo jednak nie było.

” Pochodzę z małej miejscowości i z rodziny, której codzienność nie była usłana różami. Nie było w mojej rodzinie taty, była za to bieda i była moja inność, która motywacji bynajmniej nie dawała – wspomina. – Brakowało mi pewności siebie, poczucia własnej wartości. Mówiąc wprost: nie chciało mi się żyć, więc chciałem to życie skończyć i byłem bardzo, bardzo blisko realizacji tego zamierzenia. Uratował mnie kolega, który w kluczowym momencie zadzwonił, zapytał, gdzie jestem i zaproponował, abym do niego wpadł na kolację i na pogaduchy. Gdyby nie ten telefon, pewnie by mnie dziś nie było na tym świecie. Niemal błyskawicznie uświadomiłem sobie, jaką głupią decyzję chciałem podjąć, jaką krzywdę zrobiłbym ludziom, którzy mnie kochają, którym na mnie zależy.

Mniej więcej w tym samym czasie ktoś z grona znajomych podrzucił Mariuszowi link odsyłający do wystąpienia Nicka Vujicica, australijskiego mówcy motywacyjnego, który urodził się z wadą rozwojową zwaną tetra-amelią, czyli z całkowitym brakiem kończyn. W wieku 10 lat Nick próbował popełnić samobójstwo. Skończyło się na szczęście tylko na próbie. Zrozumiał, że to kiepski pomysł i uświadomił sobie, że może pokonać swoją słabość a następnie przekuć słabość w siłę i inspirować innych. Nauczył się samodzielnie pisać, używać komputera, telefonu, jeździć na deskorolce, grać w golfa, surfować. Skończył studia, ożenił się z piękną Kanae, został ojcem, jest szczęśliwy.





” Zobaczyłem w historii Nicka mnóstwo podobieństw z moją własną historią. I dotarło do mnie w pełni, że skoro on może robić tyle dobrych rzeczy, to nie ma dla mnie przeszkód, abym mógł żyć z pasją – mówi Mariusz.

Trzeba było tylko tę pasję odnaleźć i zatroszczyć się o to, aby rozkwitła.

Mariusz oprócz tego, że nie miał dłoni i nie miał taty, był całkiem zwyczajnym, bardzo aktywnym dzieckiem, a później - nastolatkiem: pływał, grał w piłkę nożną i w koszykówkę. Dzięki staraniom mamy i własnemu uporowi był zupełnie samodzielny. Rysował – jak każde dziecko – od najmłodszych lat. Gdy był trzyletnim brzdącem, namalował na starym prześcieradle orła, który wyglądał jak gołąb, a w przedszkolu zabłysnął przed nauczycielką i rówieśnikami piękną sceną z bajki „Król Lew”. Lwa nie można już było pomylić z żadnym innym stworzeniem. Rysunek był bardzo dojrzały. Chłopak od początku używał do rysowania rąk, udowadniając, że wcale nie trzeba mieć dłoni, aby pewnym chwytem trzymać ołówek i czynić z niego profesjonalny użytek. Długo jednak rysował bez świadomości, że sztuka może stać się jego sposobem na życie.

Z pomocą przyszedł ból.



CZŁOWIEK
BEZ BARIER

Nagroda Publiczności

dla

Mariusza Konrada
Kędzierskiego

INTE
GRA
CJA

Zanim skończył szesnaście lat, przeszedł kilka operacji rąk koniecznych z powodu zbyt szybkiego tempa wzrostu kości, która uszkadzała otaczające ją tkanki. Koszmarnie bolało. Operacje ratowały go przed całkowitą amputacją. Ostatnią z nich przeżył między 15 a 16 rokiem życia. Gdy chirurdzy zrobili swoje i mógł wrócić do szkoły, wymyślił sobie rehabilitację obolałej ręki poprzez rysowanie.

Tak się zaczęło to, co trwa do dziś...

Bystrzy obserwatorzy rysunkowych wyczynów Mariusza prędko dostrzegli w jego pracach „to coś”.

Jeden z licealnych przyjaciół – Maciej przekonał go, że warto zorganizować wystawę. Dzięki jego staraniom korytarz II Liceum Ogólnokształcącego w Świdnicy ozdobiły prace utalentowanego ucznia. To była pierwsza wystawa rysunków Mariusza Kędzierskiego. Kolejne dokonały się za sprawą Jerzego Fornalika z Polskiego Stowarzyszenia im. Janusza Korczaka, który zaproponował chłopakowi współpracę. Karuzela dobrych zdarzeń zaczęła się kręcić: wystawa w Domu Kultury im. Janusza Korczaka w Nowej Hucie, wernisaż w Koźminie Wielkopolskim, staż artystyczny i wystawa w niemieckim Lamspringe. Wszystko to dokonało się przed maturą, do której Mariusz przystąpił w 2011 roku. Jesienią – po egzaminie dojrzałości, został przyjęty na studia w murach wrocławskiej Akademii Sztuk Pięknych na kierunku architektura wnętrz. Niestety, po pierwszym semestrze musiał zrezygnować z nauki. Powód prozaiczny - brakło pieniędzy na studia.

Dzień po dniu doskonalił warsztat, a przy okazji odkrywał kolejną pasję prowadząc ze świdnicką młodzieżą spotkania motywacyjne. W maju 2012 r. w świdnickiej Galerii 44 pod honorowym patronatem rzecznika praw dziecka odbyła się wystawa portretów dzieci autorstwa Mariusza Kędzierskiego. Było to oficjalne wydarzenie obchodów roku Janusza Korczaka w Polsce. Informacja o niepełnosprawnym artyście z Dolnego Śląska, który tworzy genialne rysunki, rozeszła się błyskawicznie. Temat podchwyciły polskie i zagraniczne media. Ludzie zachwycali się portretami, które oddają rzeczywistość i emocje z fotograficzną precyzją, a Mariusz czuł coraz mocniejszy wiatr w żaglach.

W 2013 r. zdobył drugą nagrodę w konkursie dla wschodzących gwiazd malarstwa i rysunku Best Global Artist Awards w Wiedniu pokonując około 150 artystów z całego świata. Rok później został jednym z 10 laureatów ogólnopolskiej kampanii „It's Your Life, Just Take It”, dzięki czemu mógł pojechać w podróż po Europie. Nie była to podróż dla czystej przyjemności czerpanej z odkrywania nowych miejsc. Opatrzył ją hasłem: „Mariusz Rysuje”, ale nie tylko o rysowanie chodziło. Cel był znacznie mocniejszy: sprowokować setki przechodniów do myślenia o tym, jak ważna w życiu każdego człowieka jest pasja.

”

Przecież Mariusz (czyli ja) rysuje, choć nie ma rąk. Robię też wiele innych pasjonujących rzeczy, aby nigdy nie żałować ani jednego dnia swojego życia. I tutaj pojawia się miejsce na pytanie, co robią ze swoim życiem i ze swoją pasją wszyscy ci, którzy patrzą jak „Mariusz rysuje” – tłumaczy bohater przedsięwzięcia.



W ciągu 17 dni wraz z czwórką przyjaciół przejechał dystans ponad 10 tys. km i odwiedził dziewięć miast. Rysował między innymi na ulicach Londynu, Paryża, Barcelony, Rzymu, Aten. Wszędzie przyjmowano go serdecznie, z olbrzymim zdziwieniem, niekiedy – ze łzami w oczach. Towarzysze podróży dokumentowali każdy jej etap i artystyczno-psychologiczne efekty Mariuszowego rysowania.

Między innymi dzięki temu, co dokonało się podczas ulicznych „występów” z zaczarowanym ołówkiem, Mariusz otrzymał Nagrodę Publiczności w ogólnopolskim konkursie „Człowiek Roku Bez Barier 2015”.

30 kwietnia tego samego roku spełnił jedno ze swych najważniejszych marzeń – spotkał się w Poznaniu z Nickiem Vujicem, któremu wręczył szczególny prezent – portret narysowany przez chłopaka bez dłoni.

Gdzieś pomiędzy rysowaniem, wystawami i przygodami Mariusz Kędzierski dokonał jeszcze jednej rzeczy, która przy jego niepełnosprawności wydawała się niemożliwą – nauczył się jeździć samochodem. Gdy już opanował tę umiejętność, zaczął rozglądać się za sposobem na urzędowe potwierdzenie zdolności do bycia kierowcą, czyli za szansą na prawo jazdy.

”Przypomniały mi się przykre chwile z dzieciństwa, kiedy z zazdrością patrzyłem na rówieśników, którzy jadą gdzieś rowerami beze mnie. I niezwykle momenty, jakie przeżyłem dzięki przyjacielowi z najmłodszych lat – Jackowi. Wiedząc o tym jak jest mi przykro, wymyśliłem, że zabierze mnie na przejażdżkę. Przez cały dzień woził mnie wokół osiedla na bagażniku – wspomina Mariusz. – Na rowerze nie nauczyłem się nigdy jeździć samodzielnie, ale samochodu nie mogłem odpuścić. Największym problemem nie było wcale opanowanie umiejętności jeżdżenia, ale konieczność zdobycia zgody lekarza. Jeden po drugim odsyłali mnie z niczym, aż wreszcie kolejny lekarz, do którego trafiłem, poprosił o dowód, że naprawdę potrafię jeździć. Nagrałem film. To mu jednak nie wystarczyło. Spojrzał na zegarek i oznajmił: „Kończę o 15.00”. „Ryzykant” – pomyślałem szalejąc ze szczęścia. Po półgodzinnej jeździe w fotelu pasażera pan doktor oznajmił, że następnego dnia mogę przyjąć po zaświadczenie potwierdzające, że nadaję się na kierowcę. Niedługo później – 4 grudnia 2012 roku odebrałem z rąk egzaminatora pozytywny wynik egzaminu praktycznego. Zdałem za pierwszym razem.

Mariusz cieszy się życiem, choć jak przyznaje – cały czas nie jest ono łatwe. Jest jednak pełne niespodzianek i powodów do radości. Jest dumny, że udało mu się zrobić prawo jazdy, że nauczył się sam gotować, że wyprowadził się z rodzinnego domu i jest samodzielny. Jest szczęśliwy, że może pomagać mamie, że odnalazła go przyrodnia siostra...

Pani Jolanta wychowała trójkę pociech. Przed Mariuszem na świecie pojawili się Paulina i Szymon.

Dorośli już Mariusz w 2015 r. dostał od losu prezent - jeszcze jedną bliską sercu osobę - siostrę.

” *Odezwała się do mnie za pośrednictwem internetu. Tak po prostu: „Hej, jestem Marta!” i spytała o mojego ojca, którego nigdy nie poznałem. Okazało się, że to moja przyrodnia siostra, bardzo serdeczna dziewczyna. Szkoda, że tyle lat straciliśmy, świetnie, że mnie znalazła – cieszy się Mariusz.*

Dziś – jak mówi – brak dłoni jest jednym z jego mniejszych problemów.

” *Staram się skupiać na tym, co mam i co mogę mieć, a nie na tym, czego nie mam i co pozostaje daleko poza moim zasięgiem. Na rozwiązywaniu problemów, a nie na zamartwianiu się tym, że są. Jestem niepełnosprawny i nie zmienię tego, ale dużo dobrych rzeczy nie wydarzyłoby się w moim życiu, gdybym miał dwie zdrowe ręce - uśmiecha się.*

Za uśmiechem, gdzieś w zakamarkach myśli kryją się i od czasu do czasu dają o sobie znać najważniejsze marzenia...

” *Rodzina. Żona. Dzieci, którym chciałbym dać wszystko to, czego mi brakowało w dzieciństwie. A z tych bliższych celów – wystawa w Nowym Jorku, którą planuję i przygotowuję od dwóch lat – mówi.*

W Europie już rysował. Pora na podróż z zaczarowanym ołówkiem na inne kontynenty.







08

O TYM JAK BÓG ZAMYKA
DRZWI I OTWIERA OKNO,
CZYLI...

**JAK MAŁGOSIA
URATOWAŁA JĘDRKA
I JEGO MUZYKĘ**

A close-up portrait of an older man with a mustache, looking slightly to the right. The image is heavily stylized with a red overlay that covers most of the frame, leaving only the left side and the bottom text in grayscale. The man has short, light-colored hair and a prominent mustache. The red overlay is semi-transparent, allowing some of the original colors to be seen, particularly on the left side of his face and neck.

**ANDRZEJ
BRANDSTATTER**

O TYM JAK BÓG ZAMYKA
DRZWI I OTWIERA OKNO,
CZYLI...



JAK MAŁGOSIA URATOWAŁA JĘDRKA I JEGO MUZYKĘ

Jest takie lekarstwo, które działa przeciwbólowo w każdej chorobie. Nie kupisz go w żadnej aptece, ale możesz je dostać zupełnie za darmo, jeśli znajdziesz kogoś, kto może i zechce się nim podzielić. Andrzej Brandstatter dostał je od Małgosi. Pomogło. Dzięki niemu żyje i jest szczęśliwy, choć jest nieuleczalnie chory. Lekarstwo nazywa się miłość.

Urodził się w 1952 roku w Opolu. Jego ojciec – strażak pojechał kiedyś na wycieczkę do Zakopanego, z której nie chciał wracać. Zakochał się w górach na amen. Zadzwonił do swojej żony i polecił: „Pakuj Jędrka i przyjeżdżajcie tu!”. Jędrak miał roczek, gdy mama wykonała polecenie swojego męża. Takim sposobem mały Andrzejek został góralem. Ojciec znalazł w Tatrach pomysł na życie: został ratownikiem górskim, przewodnikiem, instruktorem jazdy na nartach i gospodarzem schroniska na Hali Gąsienicowej.

” W Murowańcu się wychowywałem – wspomina Andrzej. – Tam też omal nie zostałem na zawsze, bo wraz z zaprzyjaźnionym synem kucharki oddaliśmy się kiedyś jakieś 200 – 300 metrów od schroniska i dopadła nas taka śnieżycyca, że nie mogliśmy trafić z powrotem. Błądziliśmy po dolinie, szukali nas górcy ratownicy, a uratował nas pies, który trafił na ślad i dwa życia ocalił.

Gdy Jędrzek trochę podrósł, zaczął trenować skoki narciarskie. Na Wielkiej Krokwi udało mu się kiedyś wylądować na 115 metrze, ale na średniej miał wypadek z finałem w szpitalu, po którym zrezygnował ze sportowej przygody.

Na nudę jednak nie narzekał, bo była jeszcze jedna przygoda, która kusiła go od dziecka – muzyka.

” *Mama śmiała się, że w kościele tylko mnie było słychać. Tak było... wydierałem się najlepiej jak potrafiłem – śmieje się.*

Do szkoły muzycznej jednak nie poszedł. Gdy wyrósł z krótkich portek, wybrał zawód budowlanca. Czemu? Bo na budowie zawsze jest pewna robota.

W Zespole Szkół Budowlanych w Zakopanem działał zespół regionalny Budorze, więc można było jednocześnie uczyć się budować, tańczyć i muzykować. Tańczył też w Maśniakach i w Zespole Regionalnym im. Bartusia Obrochty, coraz częściej myśląc o założeniu własnej kapeli.

” *Zainspirowali mnie Skaldowie, którzy przekonali mnie, że góralską muzykę można podać troszkę inaczej i nadal będzie wspaniata – mówi Andrzej.*

Myśl zamieniła się w czyn w 1972 r. – powstał zespół Krywań, który szturmem zdobył serca miłośników muzycznych wariacji na temat folkloru. Nagroda publiczności na festiwalu w Opolu w 1978 była najlepszym potwierdzeniem, że Andrzej trafił ze swoim pomysłem w dziesiątkę.

Z muzyki ciężko jednak żyć, a Jędrzek, który zdążył wydorośleć, ożenić się i powitać na świecie dwójkę dzieciaków, musiał utrzymać rodzinę. Pracował w ośrodku wypoczynkowym, wieczorami grywał na potańcówkach, a pomiędzy pracą a graniem był jeszcze tatrzańskim przewodnikiem. Na początku lat 80. pojechał do Wiednia zarobić więcej. Dla dzieciaków.

Pewnego dnia, korzystając z kilku wolnych od pracy dni, przyjechał do Polski i zabrał swoje pociechy Kubę i Magdę na Mazury.

” *Podczas tego wyjazdu Kuba zapytał, czemu już nie gram – wspomina Andrzej. – Odpowiedziałem, że muszę pracować, żeby było za co żyć. Nie mogę sobie darować, że nie byłem wtedy bardziej dociekliwy...*

Nie miał pojęcia, że jego 11-letni syn chce pójść w jego ślady, wypełnić życie muzyką. Nie mógł też przewidzieć, że będzie to ostatnia rozmowa z ukochanym dzieckiem.



Kilka tygodni później będąc znów w Wiedniu, Andrzej odebrał telefon z informacją, po której rozpada się w kawałki serce każdego ojca - chłopiec miał wypadek. Potrafił go pijany kierowca, który wjechał na chodnik. Jędrrek natychmiast wsiadł w samochód i ruszył w kierunku Zakopanego. Nie pamięta ani jednej chwili z tej podróży. Nie zdążył, choć bardzo się spieszył. Gdy dotarł na miejsce, Kuba był już po drugiej stronie doczesności.

” *Za późno dowiedziałem się, dlaczego wtedy na Mazurach pytał o moje granie. Okazało się, że założył z kolegami zespół góralski – Mały Krywań. Zdobył gdzieś starą gitarę i oddał ją do naprawy. Szedł ją odebrać. Chciał mnie zaprosić na próbę, ale trzymał wszystko w tajemnicy. Miała być niespodzianka... A przecież kupiłbym mu gitarę, gdybym tylko wiedział, że chce grać. Może byłby dziś tutaj... – zastanawia się Andrzej.*

Czuł, że jest coś synowi winien. Z tego przeświadczenia i z dramatycznej tęsknoty za dzieckiem powstała jedna z jego najpiękniejszych piosenek: „Moje pocieszenie”.

” *... Synku drogi, jo nie wiedzioł ze Cie ciesy muzyka
Kiebyś sepnon choć słówecko, nie puściłbyk Cie nika
Razem by my se grali i śpiewali, naszym śpiewaniem ludzi pociesali
Dziś zostółek ino som...
Ale przecież się spotkomy, przyjdzie kiejsik taki cas
Popytomy chór aniołów coby śpiewoł z nami wroz
Jo ci podegrom nucicke wierchowom. Ty jom zaśpiewos, jo pociogniem z Tobom
Na niebieskich polanach...*

Ech, jak on to śpiewa. Nie da się słuchać obojętnie. Łzy nie mieszczą się w kącikach oczu. Kuba na niebieskich polanach pewnikiem przygrywa ojcu. Inaczej być nie może.

” *Wierzę, że kiedyś razem będziemy muzykować tam po drugiej stronie – wzdycha góral.*

Andrzej Brandstatter choruje na stwardnienie rozsiane. Diagnozę usłyszał jako nastolatek, w 1968 roku. Choroba zaczęła się od kłopotów ze wzrokiem i od niedowładu nóg. Stwardnienie odbiera siły stopniowo. W końcu zmusza to tego, aby usiąść na wózku.

Niepełnosprawność, odejście dziecka, rozsypane małżeństwo, które nie wytrzymało próby czasu i próby nieszczęścia, a później jeszcze rozpad Krywania... Wydawało się, że los uczynił sobie z Andrzeja worek treningowy i będzie bił, aż rozłoży na łopatki. Bolało. Po trudnym pożegnaniu z Krywaniem Andrzej jeszcze raz spróbował roztańczyć świat



REPLIKA
NS CPH

i w 1993 r. założył zespół Hawrań, ale choć muzyka wciąż wypełniała serce, choroba gasiła nadzieję na lepsze dni.

Ale jak pięknie zauważył ksiądz Jan Twardowski – „Kiedy Bóg drzwi zamyka, to otwiera okno”. Tak się właśnie stało w Jędrkowym życiu. Przez okno zajrzała Małgosia, pani pedagog, zakochana w górach i w góralskiej muzyce lublinianka.

Okno otworzyło się z okazji 30-lecia szkoły, w której pracowała. Chciała na tę uroczystość zaprosić góralski zespół. Pełna obaw, czy muzycy zgodzą się zagrać bezinteresownie, zadzwoniła do Hawrania. Odebrał Jędrzek. Poprosił o dwa dni czasu na dogadanie się z kolegami. Nie dowierzała, że odpowiedź będzie pozytywna, ale posłusznie zadzwoniła po dwóch dniach. Usłyszała w słuchawce: „Przyjedziemy!”. Ale szczęście!

Małgosi nie brakowało w życiu niczego prócz tego, co najważniejsze – miłości. Nie zaznała jej w swoim pierwszym małżeństwie. Człowiek, z którym dzieliła codzienność, nie umiał okazać





jej nawet szacunku. Dziś wspomina jak podczas pielgrzymki do Watykanu modliła się o jedno z dwojga: o odwagę, która pozwoli jej odejść albo o to, aby mężczyzna, z którym codzienność jest psychiczną udręką, po prostu się zmienił.

Niedługo później poznała Jędrka. Od pierwszych chwil tej znajomości była pewna, że nie skończy się na jednym koncercie. Zakochała się. O Andrzejawej chorobie dowiedziała się od znajomych, bo sam nie zwykł o niej opowiadać. Nawet gdy zdarzały mu się kłopoty z utrzymaniem równowagi na scenie. Ludzie myśleli, że strzelił sobie kielicha przed koncertem. Bywało, że ktoś dosadnie komentował jego niepewne kroki, nie mając pojęcia, że tak „działa” stwardnienie rozsiane. Małgosia wiedziała. Przekonała Andrzeja, aby bez kompleksów zdecydował się wyjść na scenę z laską. Przekonała go także, że warto otworzyć się na uczucie, które spadło jak grom z jasnego nieba. Rzuciła dla niego wszystko.

” *Poczułam, że to jest odpowiedź na moją modlitwę, że mam pozwolenie na tę miłość, ale muszę dźwignąć krzyż, którym jest Jędrkowa choroba. Akceptuję ją, nie traktuję jej w kategoriach osobistego ciężaru. Ten krzyż to trud patrzenia jak on zмага się ze swoim cierpieniem – mówi Małgosia.*



Choroba nie odpuszczała. Upomniata się o ręce. Coraz ciężiej było trzymać instrument w słabnących dłoniach. Zabrała tańczenie, zabrała możliwość grania, sięgała po coraz więcej, próbując zabrać poczucie sensu życia, ale na to Małgosia nie pozwoliła.

” Szukała coraz to nowych argumentów, żeby zmusić mnie do jakiegokolwiek aktywności, aż wreszcie znalazła: „Jędrus, nogi nie śpiewają” – powiedziała pewnego dnia. Tymi słowami postawiła mnie na baczność. Dotarło do mnie, że wciąż mogę śpiewać, pisać teksty. Wziąłem się w garść i wziąłem się znów do roboty. I tak dzięki Małgosi powstała płyta „Moje pocieszenie” nagrana z orkiestrą symfoniczną i z Adamem Sztabą.

Wreszcie jest mi w życiu dobrze – dodaje Andrzej.

A przecież nie minęła tęsknota za synem, z którym nie zdążył zaśpiewać, ani nie odpuściła choroby. Ale zadziało się lekarstwo.

Wspólnie z ukochaną kobietą Jędrę Brandstatter powołał do życia Fundację Pro Artis. Złotówka do złotówki zbierają fundusze na poszukiwanie i szlifowanie dziecięcych talentów. Nie jest ważne, czy dzieci są zdrowe czy niepełnosprawne – każde, które rwie się do muzykowania albo do rysowania, dostaje szansę nauczyć więcej niż umie, wystąpić na scenie, przeżyć niezapomnianą przygodę. Efekt całorocznej pracy Andrzeja i Małgosi można podziwiać co roku podczas zakopiańskich Wierchowych Spotkań. Jest to dwutygodniowe święto utalentowanych dzieciaków, dla których Jędrę, Małgosia i ich przyjaciele organizują warsztaty, koncerty, wycieczki, muzyczne spotkania z artystami i aktorami. Przyjaciół jest zgrana gromada – jest w niej między innymi Anna Dymna, Adam Sztaba, Włodzimierz Matuszak, Kamil Stoch...

” *Dziś wiem już, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Zawsze przychodzi czas, w którym człowiekowi po burzy zaświeci słońce. Gdy jest w życiu cel, takie „drobnostki” jak niepełnosprawność schodzą na dalszy plan, nie ma czasu o nich myśleć. Póki starczy sił, trzeba pomagać innym, dzielić się tym, co najlepsze i ufać, że wszystko co się dzieje, ma sens. Choroba pewnie też ma jakiś sens. Wierzę jednak, że kiedyś będzie na nią lekarstwo i jeszcze z moją Małgosią zatańczę – mówi Andrzej Brandstatter.*

Kuba jest z ojca dumny. Nie muszę w to wierzyć. Wiem to na pewno.



A black and white portrait of a man with a beard and short hair, wearing a dark, textured jacket. The image is framed by a dark red border on the left and right sides. The number '09' is printed in a large, bold, dark red font in the top right corner.

09

JEŚLI POŚLIZG,
TO TYLKO KONTROLOWANY,
CZYLI...

**O SCYZORACH
I TRZYSTU KONIACH
KRZYŚKA**



**KRZYSZTOF
PIETRZYK**

JEŚLI POŚLIZG,
TO TYLKO KONTROLOWANY,
CZYLI...



O SCYZORACH I TRZYSTU KONIACH KRZYŚKA

Poniedziałek Wielkanocny 2003 roku. Mniów pod Kielcami. Motocyklista wchodzi w zakręt odrobinę za szybko, „traci” drogę pod kołami, a chwilę później traci przytomność. Jednoślady były jego pasją od dziecka. Gdy zdarzył się wypadek, Krzysiek Pietrzyk miał 22 lata.

Trenował kulturystykę, studiował wychowanie fizyczne na Wszechnicy Świętokrzyskiej, jego pasją była koszykówka, sędziował mecze. Gdy odzyskał przytomność – leżał w trawie. Nie czuł bólu i nie czuł własnych nóg. Kręgosłup nie wytrzymał uderzenia podczas upadku. W szpitalu w Piekarach Śląskich dowiedział się, że na wysokości 6, 7 i 8 kręgu piersiowego rdzeń kręgowy jest uszkodzony. Jesienią Krzyśka wniesiono do mieszkania na pierwszym piętrze kamienicy, do którego nie miał szans dostać się samodzielnie.

” Czuję się jak worek cementu. Niewesoło. Choć miałem solidne oparcie w mamie i siostrze, postanowiłem, że muszę coś zrobić z życiem, bo przecież nie wytrzymam bycia więźniem mieszkania... – wspomina Krzysztof. – Od czegoś trzeba zacząć, więc ustaliłem, że numerem jeden w życiowym planie będzie powrót na studia. Musiałem rozejrzeć się za uczelnią, na której będę mógł dalej się uczyć. Znalazłem taką. Wróciłem na studia do katowickiej Akademii Wychowania Fizycznego, gdzie wybrałem specjalizację z zarządzania w fizjoterapii i w sporcie osób niepełnosprawnych.



Zamieszkał w akademiku, w pokoju przystosowanym dla osób poruszających się na wózkach. Bardzo szybko zorientował się, że w otoczeniu, w którym zadbano o likwidację barier, może szybko wrócić do aktywnego życia, które tak lubił. Że wcale nie trzeba chodzić, aby jeździć samochodem, trenować, podróżować, pójść do klubu, do dyskoteki, poflirtować z dziewczynami.

” *Było tak fajnie, że rzadko wracałem do domu. Wszędzie sport i ludzie związani ze sportem... Zacząłem rozglądać się za dyscypliną, którą mógłbym uprawiać. Po głowie błąkała mi się myśl o pływaniu, ale akurat poznałem chłopaka, też na wózku, który jeździł na treningi koszykówki – opowiada Krzysiek. – Wybrałem się z nim na taki trening i od pierwszych chwil wiedziałem, że zostanę. Przed wypadkiem grałem przecież przez kilkanaście lat w kosza. Numer dwa na mojej liście życiowych planów był oczywisty: maksymalnie przyłożyć się do treningów i dostać się do reprezentacji Polski koszykówki na wózkach.*

Drugi punkt życiowego planu można było odkreślić, zanim Krzysiek skończył studia. Pracę mągisterską obronił w 2008 r. Rok wcześniej był w reprezentacji. Zaliczył też piękny sezon we włoskiej lidze zawodowej związany z przygodą mieszkania w Porto Torres na Sardynii, a z kadrą Polski

zdobył czwarte miejsce na Mistrzostwach Europy i szóste na Mistrzostwach Świata, reprezentował też Polskę na paraolimpiadzie w Londynie.

Koszykówka na wózkach niewiele różni się od tej „na nogach”. Gra toczy się w pięcioosobowych zespołach, boisko ma te same wymiary, kosz jest na tej samej wysokości, rzut za trzy punkty trzeba wykonać zza linii 6,75 m. Emocje, jakich rozgrywka dostarcza zawodnikom i widzom, są identyczne. Ludzie w Londynie doskonale o tym wiedzieli. Polacy grali przy pełnych trybunach. Medalu za pierwszym razem nie przywieźli, ale przywiozą. Zawzięli się.

Po kilku sportowych przeprowadzkach z klubu do klubu, z Katowic do Wrocławia, z Wrocławia do Włoch, a później do Łodzi, Krzysiek zaczął zastanawiać się nad stworzeniem własnej drużyny.

”

Pomyślałem, że będzie lepiej grać u siebie, przestać być wreszcie „elektronem” – mówi.





ILITACYJNO - WYPO


anika

sza strona życia
w.polanika.pl

TRZYK

Do realizacji szalonych pomysłów przydają się sojusznicy, a pomysł był z gatunku szalonych ze względu na koszty wyposażenia zespołu. Za jeden wózek do koszykówki trzeba zapłacić dziesięć tysięcy złotych. Krzysiek nie musiał szukać partnera do szaleństwa.

Jeden ze znajomych – Gabriel Moćko jest tatą niepełnosprawnego Szymka, który dojeżdżał na treningi koszykówki do Łodzi. Błyskawicznie podchwycił wyzwanie, bo pokonywanie dystansu z Kielc do Łodzi i z powrotem dwa razy w miesiącu zaczynało być męczące.

Tak „urodziły się” kieleckie Scyzoryk.

Początki nie były łatwe, ale z pomocą pospieszył ksiądz Andrzej, lider świętokrzyskiego stowarzyszenia, dzięki któremu drużyna Krzyśka i Gabriela gra dziś „na bogato” – jej majątek to osiem wózków. Gabriel wziął na siebie rolę menadżera, Krzysiek musiał sprostać wyzwaniu związanemu z brakiem trenera i sam zajął się prowadzeniem zespołu.

Strategia „powoli, a systematycznie” po dwóch latach przyniosła sukcesy – w drugim roku istnienia drużyny koszykarze wytrenowani przez Krzysztofa awansowali do finałowego turnieju o mistrzostwo Polski. Pojawiły się pierwsze medale.

” *Zgłosiliśmy się też do ligi czeskiej, którą wygraliśmy i którą polubiliśmy. Teraz mamy apetyt na polskie złoto – śmieje się Krzysiek.*

Jeśli jest się żywą fabryką energii – a Krzysiek Pietrzyk jest – wtedy jeden sport nie wystarczy. W 2013 r. znalazł sobie drugi - figurową jazdę samochodem...

Zaczął się od wyjazdu z przyjaciółmi na zlot volkswagenów. Taki na 1500 aut i mniej więcej tyle samo namiotów. Jeden z kolegów bawił się w drift, czyli jazdę w kontrolowanym poślizgu. Krzysiek podpatrywał go z zainteresowaniem i poczuł tę samą pokusę, która nie pozwoliła mu odpuścić koszykówki.

” *„Fajny sport, z adrenaliną, może spróbuję” – pomyślałem. I było dokładnie jak z koszem – przyznaje. – Spróbowałem i już wiedziałem, że to mnie kręci. Najpierw traktowałem drift w kategoriach czystej zabawy, ale po dwóch latach obudził się sportowy instynkt, chęć rywalizacji. Przebudowałem więc seryjnego Nissana i dałem się ponieść. Dla emocji? Na pewno tak, ale nie tylko. Chcę pokazywać ludziom, że wózek, którego muszę używać na co dzień, nie jest żadną przeszkodą w tym, aby konkurować z pełnosprawnymi kierowcami, aby żyć z pasją – tłumaczy Krzysztof Pietrzyk.*

Jest zawodnikiem grupy driftingowej RWD Team Kielce. Startuje w zawodach Nissanem 200 SX S14 z dwulitrowym silnikiem w wersji turbo z mocą około 300 mechanicznych koni, z klatką, fotelami kubełkowymi i systemem gaśniczym.

” *Błąd młodości, w wyniku którego musiałem usiąść na wózku, czegoś mnie nauczył. Przygotowując auto do driftu, mocno zainwestowałem w bezpieczeństwo – podkreśla kierowca.*

Gdy przesiada się ze swojego turbo Nissana na wózek inwalidzki, widzowie otwierają szeroko oczy ze zdziwienia. Większość z nich nie miała wcześniej pojęcia, że można TAK jeździć, jeśli nie może się chodzić.

” *Kluczem do tego, abym mógł być kierowcą, jest automatyczna skrzynia biegów i zamontowane w samochodzie urządzenie do ręcznego sterowania gazem i hamulcem. Z taką dźwignią nogi przestają być konieczne do jazdy, a bywa, że nawet przeszkadzają – śmieje się sportowiec.*

Punktem trzecim w jego życiowym planie była finansowa samodzielność. Ten cel również udało się osiągnąć. Krzysiek pracuje jako animator w Ośrodku Rehabilitacyjno-Wypoczynkowym Polanika w Chrustach pod Kielcami. Jego zawodowa misja polega na takim organizowaniu czasu małym pacjentom przyjeżdżającym do ośrodka, aby zabawa była uzupełnieniem zabiegów i pomagała w osiągnięciu jak największej sprawności i samodzielności.

” *Dużo radości daje mi ta praca. Dzięki niej uświadomiłem sobie, że całkiem fajnie dogaduję się z dziećmi. To dla mnie dobry trening przed byciem tatą. Pewnie, że chcę kiedyś mieć własną rodzinę i dzieci. To jeden z kolejnych punktów życiowego planu, ale nie spieszę się. Chyba jeszcze trochę muszę się wyszumieć – śmieje się Krzysiek.*

Szumi w pięknym stylu.

” *Wydaje mi się, że korzystam z życia znacznie bardziej intensywnie niż przed wypadkiem. Na pewno jestem bardziej aktywny – mówi.*

Co by powiedział komuś, kto dziś leży w szpitalu przeżywając to, z czym on sam musiał zmierzyć się mając 22 lata? Nie zastanawia się ani chwili.

” *Nie rezygnuj z marzeń. Z tego, co było dotąd Twoją pasją. Rozejrzyj się. Poszukaj możliwości, ludzi, którzy mogą pomóc, podpowiedzieć. Nie dopuszczaj do siebie myśli, że w domu spędzisz wygodnie i bezpiecznie resztę życia. Bezczynność jest najgorszym, co może nam się przydarzyć. Z każdym miesiącem będzie lepiej. Nawet, jeśli niepełnosprawność zostanie z Tobą, możesz zrobić więcej niż Ci się wydaje, więcej niż niejeden zupełnie zdrowy człowiek.*





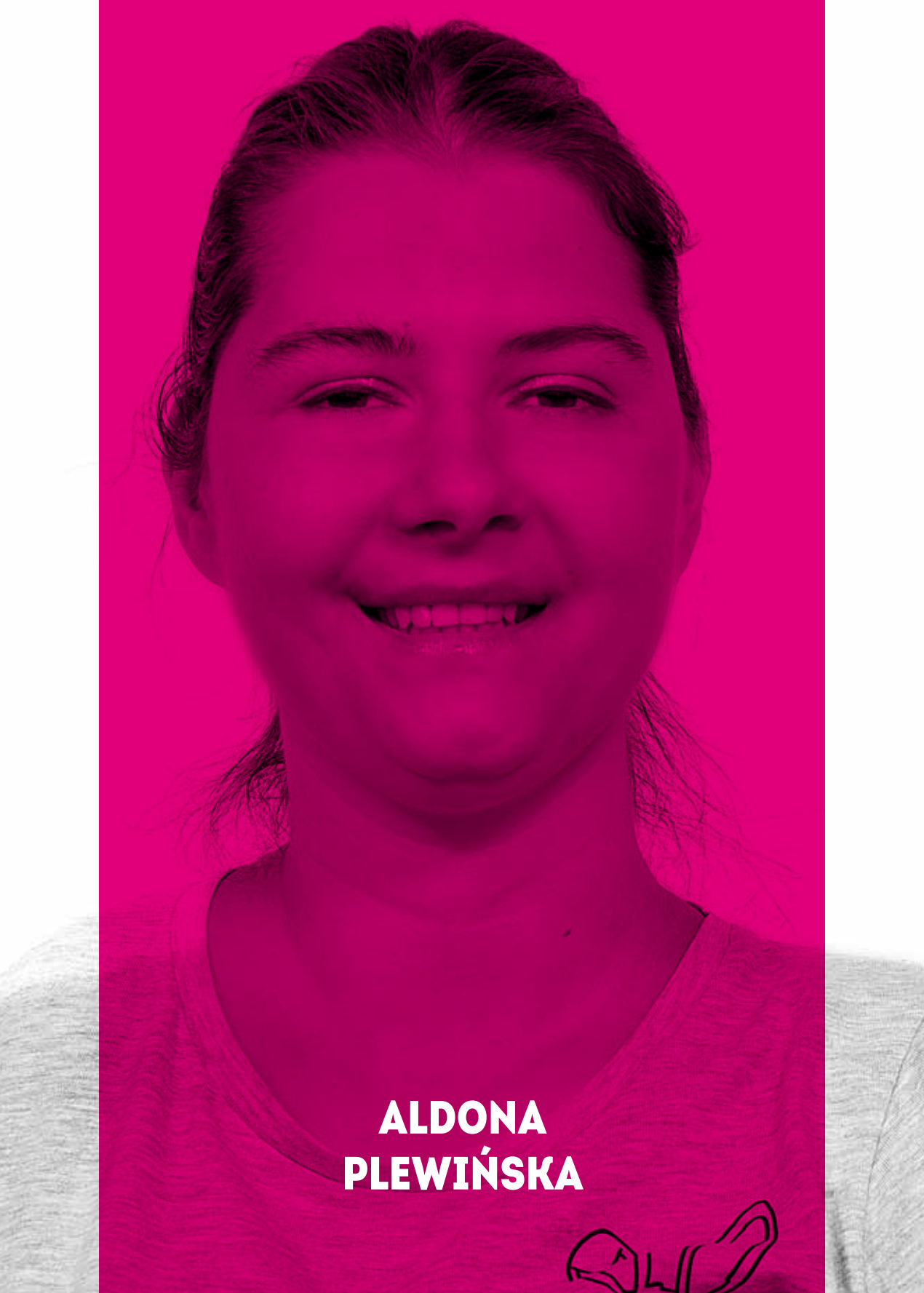


10

O TYM, ŻE WAŻNIEJSZE JEST TO,
CO MAMY, OD TEGO,
CZEGO NAM BRAK,
CZYLI...

**CO PIĘKNA ALDONA MA
W PLECAKU**



A portrait of a woman with dark hair pulled back, smiling. The image is overlaid with a semi-transparent pink filter. The background is white.

**ALDONA
PLEWIŃSKA**



O TYM, ŻE WAŻNIEJSZE JEST TO,
CO MAMY, OD TEGO,
CZEGO NAM BRAK,
CZYLI...



CO PIĘKNA ALDONA MA W PLECAKU

- Moim najważniejszym, jawnym marzeniem jest to, abym mogła pozostawić coś po sobie na tym świecie. Coś, co ludzie będą wspominali z uśmiechem. Chciałabym, żeby było mniej cierpienia, żeby ludzie częściej odnajdywali w swoim życiu powody do radości, niż skupiali się na tym, jak im jest źle – mówi Aldona, fotomodelka, rocznik 1991. - Jestem, jaka jestem. Chcę się cieszyć z tego, co mam, a nie płakać za tym, czego nie mam.

Aldona ma piękne, brązowe oczy, twarz, którą kochają obiektywy aparatów fotograficznych, genialne poczucie humoru, ma cudowną mamę, gromadkę dobrych ludzi wokół siebie i kilka talentów: pięknie śpiewa, świetnie potrafi wyrazić spojrzeniem i mimiką uczucia, emocje. Wszystkie emocje – od czułości, przez radość, po gniew. To pierwszy powód, dla którego kochają ją fotograficy. Drugi powód - fotograficy dzielą z całą resztą ludzkości wrażliwość na wewnętrzną urodę człowieka a Aldona jest piękną kobietą nie tylko zewnątrz. Oczywiście nie można mieć wszystkiego, więc jest też coś, czego Aldona nie ma. Urodziła się bez rąk i bez jednej nogi.

Gdy była maleństwem oczekującym narodzin, jej mama – pani Iza, jak każda mama robiła badanie USG. Badanie niczego niepokojącego nie wykazało. Niepełnosprawność dzieciątka,

które mocno pokochała, zanim przyszło na świat, była dla niej dramatyczną niespodzianką i bardzo ważną próbą charakteru oraz matczynej mądrości. Izabela Plewińska przeszła przez tę próbę po mistrzowsku.

” *Mama od początku uczyła mnie, że trzeba żyć jak najlepiej potrafimy i cieszyć się życiem, bo przecież drugiej szansy nie będzie. Wychowywała mnie na bardzo samodzielną osobę. Nikt z bliskich nie rozczulał się nade mną. Pomagali mi tylko wtedy, kiedy było to absolutnie konieczne, a reszty próbowałam uczyć się sama – mówi Aldona.*

Pani Iza doskonale wiedziała, że jej córka ma szansę odnaleźć swoje miejsce wśród ludzi tylko wówczas, gdy nie będzie izolowana od rówieśników. Pierwszy bój, jaki musiała stoczyć w imię tego przekonania, dotyczył miejsca w przedszkolu. Małej, innej, choć przecież bardzo rezolutnej dziewczynki, nie chciano przyjąć do żadnego przedszkola. W końcu – dzięki pomocy znajomej, która pospieszyła z pomocą w formie konkretnych zapisów prawnych zobowiązujących placówki do zaakceptowania w gronie swych podopiecznych niepełnosprawnego dziecka, „forteca” została zdobyta. Bój wart był zaangażowania, bo prędko okazało się, że Aldona wbrew obawom dyrekcji i wychowawców nie potrzebuje żadnej dodatkowej opieki, żadnych specjalnych inwestycji. Radziła sobie wyśmienicie.

Historia lubi się powtarzać, więc powtórzyła się jeszcze dwukrotnie: przed przyjęciem dziewczynki do szkoły podstawowej, a później – do gimnazjum. Za każdym razem scenariusz był niemal identyczny: odmowa, odwołanie, po odwołaniu niechętnie przyjęcie do grona uczniów, a na końcu zdziwienie, że problemów, których obawiano się w związku z niezwykłością Aldony, nie ma. Dziewczynka okazywała się uczennicą zdolną i ambitną, a przy okazji wbrew ograniczeniom wynikającym z niepełnosprawności, wyjątkowo „wszędobylską”.

Odkąd pamięta, lubiła być z ludźmi. Po powrocie ze szkoły na długie godziny uciekała z domu na podwórko, do piaskownicy, na plac zabaw. Ludzie, którzy mieli okazję ją lepiej poznać, prędko odwzajemniali serdeczność, bo jak można nie lubić dziecka radosnego, tryskającego energią, zarażającego optymizmem.

” *Dzieciństwo wspominam miło. Byłam szalonym brzdącem, którego wszędzie było pełno. Skakałam na jednej nodze, byłam bardzo ruchliwa. Dzieciaki, z którymi bawiłam się, całkowicie akceptowały moją inność, a co myślę pozostałe - tym zupełnie się nie przejmowałam – opowiada Aldona.*

Z protez, które zamiast pomagać przeszkadzały, prędko zrezygnowała. Ciężkie, spełniające wyłącznie rolę estetyczną atrapy rąk czy nogi, zostały odrzucone w ką. Postanowiła poczekać aż ktoś wymyśli lepsze.



MY BODY IS NOT A CAGE



” *Na razie nauka proponuje mi tylko te dziwne, niefunkcjonalne protezy, których używać nie mam zamiaru, ale jeśli w przyszłości pojawi się możliwość, że będę mogła się podrapać, wtedy kiedy mnie swędzi, to na pewno skorzystam – śmieje się.*

Rok 2016. Aldona studiuje, pracuje jako konsultantka w firmie sprzedającej oprogramowanie i marzy o tym, aby ludzie zobaczyli kiedyś jej fotografie na billboardach. Czemu? Po pierwsze, dlatego że dziecięce marzenie o byciu modelką okazało się marzeniem bardzo upartym, a po drugie – bo to byłaby świetna okazja, aby przekonać resztę świata, że niepełnosprawność nie jest wcale przeszkodą w dążeniu do śmiałych celów.

” *Niepełnosprawność to nic strasznego. Nie jest to ani choroba zakaźna, ani wyrok śmierci. Z odpowiednim podejściem można przeżyć wspaniałe, godne życie. Chciałabym, aby za kilkadziesiąt lub kilkaset lat ktoś pamiętał o tym, że była kiedyś taka pozytywna Aldonka, która zmieniała postrzeganie wielu rzeczy, uczyła jak uśmiechać się wtedy, kiedy wszyscy inni spodziewali się, że będziemy płakać – mówi Aldona Plewińska.*

Chciałabym pokazać ludziom pełnosprawnym, że tacy jak ja również mają swoje pasje, chcą je realizować i chcą po prostu istnieć w społeczności. Że trzeba zacząć nas akceptować i traktować jak innych normalnych ludzi. Natomiast niepełnosprawnym chciałabym pokazać,

że warto walczyć o siebie. Nie możemy poddawać się tylko dlatego, że komuś nie podoba się to jak wyglądamy – dodaje w wizytówce swojego profilu na portalu Maxmodels.

Na Maxmodels trafiła przypadkowo w 2009 roku. Nie zawahała się ani chwili, zakładając swój profil i zamieszczając na nim kilka amatorskich zdjęć. Zdziało! Jako pierwsza odezwała się do niej Magda Pietrzak – pani fotograf z Chorzowa. Rok później inna artystka – Anna Bodnar za zdjęcie Aldony zdobyła I nagrodę w konkursie Digital Camera Photographer of the Year 2010.

Po kilku latach od pierwszego kroku w stronę marzeń, Aldona miała na swoim koncie ponad 20 profesjonalnych sesji różnych autorów. Nie buja jednak w obłokach. Ponieważ nie sposób przewidzieć, jak potoczy się jej kariera w modelingu, wciąż uczy się i pracuje. Ma na przyszłość plan „B”. W obu planach jest osobne miejsce na to, co najważniejsze – mieć kochającego mężczyznę u boku i dzieciaki, które wypełnią życie dodatkową porcją radości.

Który plan uda się zrealizować - czy ten związany z modelingiem czy też ten z ukończeniem studiów i wyborem jakiegoś bardziej zwyczajnego zawodu (a może obydwaj?), to nie jest sprawa



kluczowa. Z życiem jest przecież podobnie jak z podróżą - znacznie ważniejsza od miejsca docelowego podróży, jest droga, która do niego wiedzie.

Podróż Aldony przez życie, choć niełatwa, jest pasjonująca. W plecaku podróżniczki nigdy nie brakuje optymizmu, dobrej energii, radości, życzliwości dla ludzi i przeciwbólowo działającego dystansu do siebie, który jest jedną z wielu supermocy pięknej kobiety z Katowic.

”

Bez tej supermocy chyba zwariowałabym. Używam jej na co dzień – uśmiecha się Aldona.

Teraz sprawdź swój plecak. Co w nim masz? Droga daleka, więc zanim ruszysz dalej, uzupełnij braki.





DON'T TALK
TO ME...

11



WYCHOWAĆ ORŁA,
CZYLI...

**JAK AGNIESZKA
I PIOTREK STWORZYLI
SKRAWEK NIEBA NA ZIEMI**



**KONRAD
TOKARCZYK**

WYCHOWAĆ ORŁA, CZYLI...



JAK AGNIESZKA I PIOTREK STWORZYLI SKRAWEK NIEBA NA ZIEMI

Bałam się odejść od łóżeczka, w którym leżał nasz syn. Jeśli umrze, a mnie przy nim nie będzie, nigdy sobie tego nie wybaczę – wspomina Agnieszka. Konradek miał wtedy sześć tygodni. Od pierwszych dni życia maleństwa lekarze przygotowywali jego rodziców na najgorsze. Uprzedzali, że zamiast witać nowego członka rodziny, trzeba żegnać się z dzieciątkiem, które przyszło na świat... połamane. Mówili, że raczej nie doczeka pierwszych urodzin.

Konrad pojawił się na świecie 5 września 2008 roku z defektem genów odpowiedzialnych za prawidłową syntezę kolagenu - białka, od którego zależy między innymi wytrzymałość kości. Szkielet organizmu produkującego nieprawidłowy kolagen staje się podatny na złamania. U chorych na wrodzoną łamliwość dochodzi do złamań z byle powodu. Nawet spontanicznie, nawet podczas snu... Konradek dorobił się przynajmniej kilkunastu złamań, będąc jeszcze pod sercem swojej mamy.

Choroba ma kilka typów. U niego podejrzewano najcięższą jej postać.



Leżał w tym szpitalnym łóżku w jednej pozycji z absolutnym zakazem podnoszenia, przytulania, zmiany pozycji i wcale nie wyglądał na umierającego. A my czekaliśmy na to, co wedle

rokowań wydawało się nieuchronne, przyglądając się mu z troską i nieśmiałym niedowierzaniem... przecież tak spokojnie oddychał. Nic a nic nie wskazywało, że mógłby przestać oddychać. I doczekaliśmy się wreszcie cudownej niespodzianki. Z Krakowa trafiliśmy do szpitala w Łodzi, gdzie okazało się, że to typ trzeci łamliwości, bezpieczniejszy... taki, z którym można żyć – opowiada mama najbardziej radosnego dzieciaka pod słońcem.

Jeśli kiedyś spotkasz Konrada Tokarczyka, poznasz go bezbłędnie po bystrych figlarnych oczach, które potrafią na zawołanie czarować obłądnym „maślanym” spojrzeniem, od którego w okolicach serca robi się rozkosznie ciepło.

Zanim syn Agnieszki i Piotra skończył osiem lat, ponad 500 dni spędził w szpitalach i przeżył sześć poważnych operacji. W klinice w Berlinie jego nóżki wzmocniono stalowymi prętami, które dały nadzieję na to, że kiedyś postawi samodzielne kroki. Życie Agnieszki i Piotra zaczęło toczyć się na walizkach – wyznaczone terminami systematycznych podróży do Łodzi na kurację lekiem Pami-fos wzmacniającym kości Konradka i do warszawskiego Centrum Zdrowia Dziecka na rehabilitację. Musieli przyzwyczaić się do myśli, że codziennie – nawet w najspokojniejszy dzień spędzany w domowym zaciszu, trzeba być gotowym, że jeśli usłyszysz się charakterystyczny dźwięk przypominający trzask łamanej gałązki, to najpewniej oznacza złamanie. Będzie więc kolejne składowanie, gipsowanie, leczenie, a później mozolne wracanie do formy. Niby syzyfowa praca, ale nie do końca...

Przez dzieciństwo naznaczone bólem Konrad jedzie na swoim zgrabnym wózek inwalidzkim coraz bardziej pewnie i dziarsko. Pięknie radzi sobie w szkole. Genialnie radzi sobie w gronie rówieśników. Jest duszą towarzystwa. Marzy o tym, żeby móc kiedyś chodzić, więc nie martwi go życie na walizkach, tym bardziej, że za każdym razem jedzie do „swoich”.

” *Na pierwszy turnus dla chorych z łamliwością kości pojechałam troszkę niepewnie. Nie wiedziałam, kogo tam spotkamy, jak odnajdziemy się wśród innych. Ta niepewność minęła błyskawicznie, gdy okazało się, że wszyscy chorzy na łamliwość to ludzie bardzo pogodni, serdeczni, cudownie zaradni. Studiują, pracują, zakładają rodziny, mają zdrowe dzieci... Niesamowite, ale to wśród nich prawidłowość. Może taki jest skutek uboczny tej choroby? Dzięki spotkaniom z nimi inaczej patrzę w przyszłość. Wiem, że mój syn poradzi sobie, że będzie samodzielny i szczęśliwy – mówi Agnieszka.*

Gdy Konrad miał siedem lat, po raz pierwszy padło trudne pytanie: Dlaczego Kuba urodził się zdrowy, a ja chory?

Kuba (rocznik 2005) to jego starszy brat, najlepszy przyjaciel i partner do wybryków. Zdarzyło się kiedyś, że Konradek złamał nóżkę próbując kopnąć Kubę w tyłek... Bynajmniej nie złośliwie. Klasyczne dziecięce wygłupy. Ale pytanie: „dlaczego jestem, jaki jestem?”, było całkiem poważne.





Nie wiem synku. Może Bóg tak chciał? Nic na to nie mogliśmy poradzić, że tak się stało – próbowała tłumaczyć zatroskana mama.

Ale wiesz..., w sumie łamliwość kości to wcale nie jest najgorsza choroba. Znacznie gorsza jest taka, gdy ktoś ciągle narzeka – skwitował mały bystrzak.

” Czasem zastanawiam się, skąd w głowie takiego małego chłopca takie mądre myśli – uśmiecha się Agnieszka.

Dla mnie odpowiedź jest oczywista. Kibicuję Konradkowi od jego pierwszych dni na świecie i tak samo długo z zachwytem przyglądam się jego rodzicom. Kochają się do samego nieba. Wystarczy jedno spojrzenie i już wiadomo, że są dla siebie stworzeni. Chorobę dziecka, którą musieli ośwoić, potraktowali nie jak nieszczęście, ale jak wyzwanie. Nie ukryli chorego maleństwa pod szczelnym kloszem bezgranicznej troski, ale dawkują tę naturalną rodzicielską troskę tak, aby Konrad mógł stawać się coraz bardziej samodzielny i czuć się dumny z pokonywania własnych ograniczeń. Nigdy nie tracili czasu na rozpacz. Stworzyli w swoim domu w podsądeckich Barcicach niepowtarzalny klimat rodzinnego ciepła, radości mimo wszystko i gościnności. Ten nieziemski (nie boję

się użyć tego słowa) klimat, działa jak lekarstwo na każdą chorobę i jak magnes na wyjątkowych ludzi, którzy uwielbiają tu wracać.

Tak jak wraca Natalia z Wielkopolski. Natalia również choruje na łamliwość kości. Jest piękną, uśmiechniętą, ambitną młodzieńką panią socjolog. Wychowała się w domu dziecka. Do Agnieszki, Piotra, Konradka i Kuby, wśród których odnalazła bezwarunkową przyjaźń i skrawek Nieba na Ziemi, trafiła dzięki swojej chorobie.

Ona już wie. A Ty wiesz, jak jest?

” *kiedy Bóg drzwi zamyka - to otwiera okno
odetchnij popatrz
spadają z obłoków
małe wielkie nieszczęścia potrzebne do szczęścia*
(ks. Jan Twardowski).





Publikacja dofinansowana ze środków
Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych
Książka bezpłatna, nieprzeznaczona do sprzedaży



Ta książka równie dobrze mogłaby być o Tobie lub o kimś najbliższym Twemu sercu, bo życie pełne jest niespodzianek – raz dobrych, a innym razem niefortunnych. Spróbuj zrobić mały eksperyment: wybierz jeden z rozdziałów, jednego z bohaterów i całą mocą swojej wyobraźni wczuj się w jego historię. Temu wyobrażeniu mogą towarzyszyć skrajnie różne emocje i uczucia: strach, rozpacz, smutek, niepewność, nadzieja, zachwyt, spokój, radość... Przyporządkuj każdej z tych emocji jakąś wartość w skali od 0 do 5. Zrób to dwukrotnie – najpierw w momencie, gdy dowiesz się kim jest bohater. Na przykład Tomek – wysportowany młody chłopak, absolwent AWF, który pomylił kroki skacząc do wody i złamał kręgosłup, w jednej chwili tracąc władzę w rękach i nogach. Strach, rozpacz, smutek, niepokój. Zero radości. Może jakaś nikła nadzieja... Czytaj dalej... Gdy dobrniesz do ostatniego zdania, sprawdź, co się zmieniło. Rozpacz stopniała z piątki do zera, odwrotnie proporcjonalnie do spokoju? Jest zachwyt? No ba! Zgadłam? Właśnie o to chodzi w „Akademii Orłów”: aby od strachu, rozpaczy, smutku i niepewności nauczyć się przejść przez drzwi nadziei do spokoju, radości, zachwytu. Bez-cenne! Kto tę umiejętność opanował – jest szczęściarzem.

Dziwny jest świat ze swoimi niespodziankami, ale szalenie piękny. Niezależnie od tego ile nieszczęść stało się Twoim udziałem i ile jeszcze się stanie, warto pofrunąć po radość. Wiem to na pewno. Wśród bohaterów pierwszej części „Akademii Orłów” jest ktoś, z kim osobiście przemierzałam drogę od strachu do spokoju i od bólu do radości – mój mąż Artur. Gdybyśmy nie spotkali ludzi, którzy pokazali którąś drogę, żeby nie pobłądzić, byłoby niewesoło. Za te drogowskazy dziękuję dziś – bo okazja jest ku temu świetna – Kasi i Wojtkowi Romanowskiemu, Magdzie Kotlarz, Monice Kuszyńskiej i Kubie Raczyńskiemu. Każdy z nich zostawił ślad w pierwszej części „Akademii”, do której odsyłam ciekawych (ebook dostępny w serwisie www.sc.org.pl). Każdy z nich przyczynił się do tego, że dziś – dzięki przyjaciołom ze Stowarzyszenia Sursum Corda – trafia w Twoje ręce część druga. Powstała dlatego, że drogowskazami warto się dzielić.

Jeśli wolisz smoki i jednorożce niż ludzi, z których każdy może stać się trenerem sztuki życia z pasją wbrew przeciwnościom losu albo przyjacielem – nie czytaj tej książki. Jeśli nie chcesz zdziwić się tym, jak małe i wielkie nieszczęścia są potrzebne do szczęścia – daj sobie spokój i odłóż książkę na półkę.

Jeśli jednak wybierzesz ludzi i zdziwienia, obiecuję przynajmniej tyle powodów do uśmiechu, ile rozdziałów liczy sobie „Akademia”.

A jeśli po jej przeczytaniu zechcesz podzielić się swoją historią, albo opowiedzieć o Orłach, które przefrunęły przez Twoje życie – napisz do mnie.

Izabela Kamińska

i.kamienska@gmail.com

**sursum
corda**
STOWARZYSZENIE



KRS 0000020382

dziękujemy za każde wsparcie:
11 8805 0009 0018 7596 2017 0003

www.sc.org.pl

Znajdź nas na Facebooku:

facebook.com/Stowarzyszenie.Sursum.Corda

Publikacja dofinansowana ze środków
Państwowego Funduszu Rehabilitacji Osób Niepełnosprawnych
Książka bezpłatna, nieprzeznaczona do sprzedaży

